

SZTUKA I NARÓD

Nº 3-4

Cena 3 zł

sierpień-wrzesień 1942

Artysta jest organizatorem wyobraźni narodowej

C.K. Norwid

KULTURA I GRANICE

Jeżeli jest prawdą, że naród polski stanął obecnie nie tylko wobec najcięższej z prób, ale również wobec największej szansy, jaką mu dzieje zsyłają, jeżeli takie pojęcia jak misja, rola, stały się już nie tylko pomysłami filozofów, marzeniami poetów, postulatami kaznodziei, ale i twardą rzeczywistością codzienną, treścią dramatycznej walki, do której porwał się naród mocą nieodwracalnego impulsu w swojej powszechnej decyzji – warto jak najczęściej uświadamiać sobie na czym polega owa powszechnie przyjęta na siebie misja i o co toczy się walka. Busola po to istnieje, żeby na nią ciągle spoglądać.

Bez tego sens walki staje się wątpliwy, a polityka igraszką koniunktury i handlu.

Co to jest m i s j a ?

Życie człowieka rozgrywa się w przestrzeni i w czasie. Ponad nami stoi ponadczasowa i ponad przestrzenna wieczność. I ku tej wieczności zmierza ograniczony przestrzenią i czasem żywy człowiek. Treścią ludzkości, rozumianej jako c a ł o ś ć , najgłębszym, najistotniejszym i najtrwalszym tematem ludzkich dziejów – jest właśnie to wkraczanie człowieka w wieczność i przewycięzanie ograniczoności.

Kroki na tej drodze nazywają się kulturą. Historia kultury – to obraz zbliżania się człowieka poprzez ludzkość ku Bogu.

Wszakże pojęcie Wszechświata, Zbiorowiska Istot Żywych, a nawet łatwiejszej do ogarnięcia ludzkości są o tyle niekonkretne, że człowiek sam, w oderwaniu od innych, abstrakcyjny, pozbawiony obyczaju, związków krwi, przynależności do ciaśniejszej wspólnoty i szkoły w tej ciaśniejszej wspólnocie, o d e r w a n y c z ł o w i e k nie może służyć im w sposób właściwy. Tak jak człowiek został stworzony na obraz i podobieństwo Boga, tak samo na obraz i podobieństwo większej wspólnoty ogólnoludzkiej zostały powołane pewne wspólnoty elementarne: rodzina, plemię, naród, w którym przegląda się ludzkość, jak w ograniczonym, ale wiernym odbiciu. Tak jak bez wypełniania obowiązków wobec własnej rodziny nie jest do pomyślenia dobra służba dla państwa (choć między państwem a rodziną mogą zachodzić antynomie), tak samo bez wierności narodowi nie jest do pomyślenia wierność ludzkości, choć bywają i między nimi antynomie.

Użyte tu słowo *w i e r n o ś ć* wyjaśnia nam wszystko. Zakon Sióstr Syjońskich, który modli się o nawrócenie i pokutuje za grzechy całego Izraela, kroczy po właściwej drodze w służbie chrześcijańskiej ludzkości, podczas gdy meches¹ zmieniający religię po to, by się przemycić do innego narodu – oszukuje zarazem nowy naród i stara się wymigać od elementarnego zadania, jakie mu stawia wiara: nawracanie swoich najbliższych.

Jest d e z e r t e r e m !

Wierny swojemu obyczajowi Rusin ostro walczy o uznanie swej odrębności za polskich rządów, ale również nie tracący niezależności myśli także podczas najazdu bolszewickiego i niemieckiego, lepiej się przyczynił dla sprawy ogólnopolskiej, niż lizus urzędnik łakomie korzystający z dobrodziejstw naszego państwa, a potem równie gładko przechodzący na kolejną służbę obu okupantów.

Wspólnoty ludzkie wtedy działają dobrze i wtedy kroczą po drodze rozwoju kultury, a nie jej rozkładu, gdy są s z k o ł ą c h a r a k t e r ó w , a nie siłą ścierającą charakter na piasek. Szkołą charakteru jest z w i ą z e k p o l i t y c z n y – państwo występujące w dziejach w zmiennej formie: od polis – miasta w starożytnej Grecji (szczątkowa forma: Monaco, San Marino, Luksemburg), poprzez państwa plemienne i narodowe (apogeum w XX wieku), do światowych imperiów narzucających anektowanym przez siebie ludom własny szablon bycia. Np. Rzym, Cesarstwo, Commonwealth, Związek Socjalistyczny. Pojęcie przyrodzonego związku narodowego i poczucie określonej suwerenności państwowej, władczej tego związku nad określonym terytorium (faktycznej lub

potencjalnej) – składają się razem na piękne, syntetyczne pojęcie Ojczyzny.

Ojczyzna jest zrozumiała do ogarnięcia i w czasie i w przestrzeni a jednocześnie jest nieśmiertelna i może wzrastać. Bez Ojczyzny nie ma kultury. Ale i bez kultury nie ma O j c z y z n y . Bez kultury mogą być tylko ziemie, lądy.

Tak zwana kultura kosmopolityczna praktycznie biorąc bywa emanacją diaspory (niegdyś Grecy, dziś Żydzi), i jest zawsze obrazem rozkładu jakiegoś luźnego zespołu (niegdyś zmierzch starożytnego świata, dziś kultury śródziemnomorsko-atlantycznej).

Ojczyzna nie jest kolebką, ani step, ani wybrzeże, ani góry, skąd przywędrował Nomad, Ojczyzną nie jest również przytułek, kraina do której zapędził los wygnańca. Ojczyzna jest tam, gdzie pewien określony typ kultury i styl życia może zakwitnąć i owocować. Pewien typ kultury o k r e ś l o n e j , a więc Ojczyzna ma granice.

Granic tych jednak nie znajdzie się na żadnej politycznej mapie. Nie wykreśli ich żaden sezon. Nie kartograf je wytycza, lecz n a s z e s e r c a .

Granice Ojczyzny są takie, jakie leżą w naszych sercach.

Dziś wydaje się nam absolutnie zrozumiała ta prawda. Dziś, gdy sezonowa mapa kreśli przez rdzeń ziem polskich granicę między „ojcowizną” Polaków, a Rzeszą i Ostlandem. Ta prawda była znana i naszym dziadom w XIX stuleciu, gdy „Kongresówka” była ówczesną formą „Guberni”. Była znana i Polsce przedrozbiorowej, owej Wielkiej Polsce, gdy w *pactach conventach* nie zapomniano o nakazie odzyskiwania strwonionych ziem, nie bacząc na to czy obrazi się sąsiadów, gdy Długosz nie zapomina o Śląsku, gdy później wojewoda „kijowski” zasiada w... Żytomierzu,

a „*exul* smoleński” za stołem braci posesjonatów nie musiał się doczekać obelżywej nazwy reemigranta.

Ta prawda, świadomość, że granice Ojczyzny są niezależne od sezonu, powstała za czasów Polski w podziałach równocześnie z budzeniem się świadomości narodowej i świtem własnej kultury pod życiotwórczymi promieniami Kościoła i skurczach odwiecznego naszego dylematu państwowego: czy właśnie *i m p e r i u m s ł o w i a ń s k i e*, czy przynależność do germańskiego zwierzchnictwa, który to dylemat jest treścią polityczną epoki piastowskiej, a jednocześnie zawiązkiem naszej idei *m i s y j n e j*. Potem misja narodowa nabrała oblicza a przed kulturą stanęły zadania w imperium Jagiellońskim.

Rozszerzyły się serca i granice!

Na południu z dynastią przeskoczyły Karpaty i w poczuciu wspólnoty losów historycznych z basenem Dunajskim wytworzył się ten związek serc, który los i granice pobratymców zespała z własną dolą. Jedyne w swoim rodzaju *r o m a n s* historyczny polsko-węgierski, jak i jedyne w swoim rodzaju *m a ł ż e ń s t w o* Polski z Litwą (a właściwie Rusią) były wyrazem misji, przejawem świadomości narodowej, określały granice Ojczyzny, tworzyły styl i rozbudzały kulturę Włodkowiców, Koperników, Kochanowskich, Zamojskich.

Wówczas między morzem Wikingów i morzem Argonautów, między najdalej w głąb lądu europejskiego wyciągniętymi rękami Atlantyku i Morza Śródziemnego, zakwitła pierwsza *o r y g i n a l n a*, a trwała kultura słowiańska, pierwsza kultura chrześcijańska, która zdobyła się na stałe dążenie do dotychczas niespełnionego zjednoczenia Kościoła rozdartego na Rzym

i Bizancjum. Daremnie młody Żółkiewski w białokamiennej Moskwie szukał zrozumienia. Tam znalazł mur i granicę. Ślady pokrewnym z ducha słowiańskim Pskowie i Nowogrodzie, owych Rzeczpospolitych świetnych i wolnych, a jak nikt dojrzałych do zespolenia z nami, zostały w przeddzień naszego tam dotarcia do gruntu zniszczone przez świat Iwanów Groźnych – nowy Babel zlepiiony z mitu o germańskich Waregach, nauk tatarskiego jarzma i bizantyjskiego porządku rzeczy.

I dziś Polska – szczytowe wiązanie na sklepieniu Europy, gdzież może leżeć, jeśli nie na obszarze łączącym dwa morza: Bałtyk i Czarne, obszarze, który na południu zespała się w nierozzerwalną historycznie, a kulturalnie złączoną całość z krajami po Adriatyk. Mówimy to rzeczywiście z tą nadzieją, że to niegdyś, to były próby, preludia, doświadczenia dokonane na płaszczyźnie *j e d n e j* warstwy społecznej, a nie całych społeczeństw, podczas gdy dziś żądamy od siebie *s p e ł n i e n i a* misji. W każdym jednak razie świadomość *t a k i c h* granic łączy się u nas zawsze z ofensywą kulturalną, daje impuls – twórczy bez względu na to czy posiadamy – czy nie, niezależny byt państwowy w danej chwili. Bo w takich granicach *m o ż e m y* zrealizować swoją misję: misję zespolenia europejskiego Wschodu i Zachodu, posiewu Hellady z posiewem Rzymu, stworzenia nowej syntezy po rozpadnięciu się cywilizacji śródziemnomorskiej i dzisiejszym wyczerpaniu się atlantyckiej.

W tym rozumieniu *d l a n a s* sprawa niezależności jest nawet mniej ważna od sprawy granic. Inna rzecz natomiast, że sprawa suwerenności polskiej jest dla tych ziem warunkiem spełnienia ich misji, bo z innych poważnych elementów, elementów zwierzchnich,

pierwiastek germański, jako kulturotwórczy wyczerpuje się. Sprzeniewierzył się kulturze zachodniej raz w okresie reformacji, drugi raz w w. XX, a jest bestia przedziwnie nieodporny na wpływy Bizancjum, Wschodu nie umie przeorać, niesie mu tylko rabunek i bezduszną maszynę żołniersko-urzędniczą. Pierwiastek natomiast moskiewski, niosąc w zanadru śmierć Zachodowi, sam tragicznie ginie od zetknięcia z Zachodem. Perspektywa pochodzenia moskiewskiego, to wizja toczącego się walca żołniersko-urzędniczo-bizantyjskiego i nadchodzącej kastowej martwoty w Europie.

Zadaniem Polski jest obudzenie nowego życia na niewyjałowionym gruncie słowiańskim i staniem się prawdziwą matką narodów, które podejmują głoszoną przez nas misję. Misją tą zaś jest maksymalizm etyczno-polityczny – wcielenie w życie społeczne i polityczne Idei Chrześcijańskiej w pełni.

Idea ta jest nowa, gdyż poza Polską przynajmniej się zasadom Chrystusowym prawo regulowania stosunków między jednostkami, ale nie pomiędzy narodami i gruntami społecznymi. Idea ta nie jest stworzona *ad hoc*, gdyż jej zapowiedź widzimy w dziejach własnej Ojczyzny.

Był krótki okres w naszej historii, gdy zapomniano o misji dziejowej narodu. Zwycięska armia, odpędziwszy wroga od drzwi pokoju jadalnego, radośnie wróciła do sypialni, zadowolona, że wróg ustąpił do przedpokoju, choć przedpokój ten był bardzo piękną sienią kresową i łączył w sobie zalety salonu i spiżarni. Wytyczono granicę nonsensu przez środek ziem o przewadze kultury naszej nad wschodnią. Bandycie pozostawiono do dyspozycji połowę przedpokoju i oczywiście duplikaty kluczy (Białoruś Sowiecka, Ukraina Sowiecka, Mołdawia Sowiecka, ba, nawet Polska Sowiecka w Marchlewsku pod Żytomierzem²). Zamknięto serca na los 2.000.000

Polaków skazanych na wygnanie, tułaczkę, zagładę, śmierć. Zamknięto również serca na los narodów, wobec których dawna Rzeczpospolita odegrała rolę kreacyjną, w sensie wydobycia ich indywidualności historycznej z masy Wschodu.

Dobito prędkiego targu. Zabrakło siły c h a r a k t e r ó w na pełne zwycięstwo, na wykorzystanie wygranej w polu. Egoizm i lenistwo cofnęły nas przed decyzjami większych rozwiązań. Część Ojczyzny odzyskała nietrwałą wolność. Granice Ojczyzny się skurczyły.

Duch dziejów jest surowy. Żaden może nasz okres nie wiąże się tak, jak wczorajszy z przejściem od ofensywy do defensywy kulturalnej. Staliśmy się krajem kolonialnym uginającym się pod stosem wysortowanej gdzie indziej tandety. Poza jak najdalszym pójściem na rękę e k s p l o a t o r o m , nie mieliśmy żadnej polityki kulturalnej. Mnożyły się więc cywilizacyjne nonsensy. W jednym roku więcej w kraju zburzono cerkwi niż wystawiono kościołów. Przepraszam: Burzono również przez pomyłkę... kościoły. I to o sporej wartości artystycznej. Oczywiście musieli to zrobić ludzie, nieumiejący nie tylko wartościować dzieła z punktu widzenia estetycznego, ale zwyczajnie nie umiejący odróżnić kościoła od cerkwi. Ileż kłód rzucano pod nogi zarówno religii, jak kulturze i narodowej ekspansji.

Dopiero zryw decyzji wrześniowej, dopiero świadoma najstraszliwszych następstw wola obudzonego narodu, która nawet niezdecydanemu rządowi umiała narzucić imperatyw, wyrwała nas z ciasnych opłotków egoizmu i rzuciła w nurt właściwych zadań. Czyż ma się powtórzyć niedola niepełnego zwycięstwa?

Aby tak nie było, czuwajcie twórcy kultury narodowej. Nie usypiajcie jej stróże!

Witold Bukowski

ROZSTRZYGNĘCIE KONKURSU POETYCKIEGO „SZTUKI I NARODU”

Konkurs poetycki ogłoszony w 2. numerze „Sztuki i Narodu, został rozstrzygnięty publicznie w czerwcu br.

W obecności dwunastu uczestników konkursu, grupy publiczności i dwuosobowego sądu konkursowego (spoza zespołu redakcyjnego) – zebranie otworzył przedstawiciel pisma, przypominając warunki konkursu i jego cele.

Do konkursu mogli stawać jedynie poeci, którzy nie wydali dotąd własnego tomu poezji.

Dowolna ilość utworów, nieprzekraczająca jednak razem 10 min. w głośnym czytaniu, została zgłoszona sądowi konkursowemu przez każdego z uczestników na tydzień przed oficjalnym rozstrzygnięciem.

Nie został narzucony żaden specjalny temat. Inicjatorom konkursu zależało bowiem szczególnie na uzyskaniu przeglądu współczesnej młodej poezji w jej kształtach i barwach zupełnie naturalnych, spontanicznych, niczym nieskrępowanych.

Jednocześnie zadaniem konkursu było wzmocnienie tętna współczesnego życia artystycznego, pozbawionego wszelkich poważniejszych możliwości zetknięcia się poety z publicznością. Nie chodziło bynajmniej o dostarczanie na zamówienie społeczne pewnego zespołu wrażeń specyficznym aktualnych, utworów paraliterackich obliczonych programowo na efekt pozaestetyczny. O wartości estetyczne chodziło przede wszystkim. Kładąc na nie nacisk, inspirując je do rywalizacji – stwierdzamy nasz spokój, pozwalający nawet w obecnej chwili interesować

się całością naszych treści kulturalnych. Jeśli dopiero te wrażenia estetyczne znajdą swój wyraz w ujęciu, tematyce, w przedstawieniach naszej współczesności, w organicznym związku z nią – tym mocniej je odczujemy.

Drobna suma przeznaczona na nagrodę konkursową (która np. może być podzielona przez jury proporcjonalnie do wartości nagrodzonych utworów) stanowi nadwyżkę uzyskaną ze sprzedaży numerów pisma i traktowana jest raczej jako odznaczenie honorowe.

Po tych wstępnych uwagach przewodniczącego, została rozlosowana kolejność czytania utworów. Ze względów technicznych nie zostały odczytane wszystkie wiersze, lecz każdy z uczestników przedstawił tylko część utworów już poprzednio znanych jury.

Następnie jury udało się na naradę, po czym ogłosiło wyniki.

Orzeczenie jury.

Do konkursu zostały przedstawione wiersze, liryki prozą i próby liryków w postaci dialogowej. Utwory wykazywały na ogół poziom wyrównany i zbieżny kierunek poszukiwań artystycznych. Nowoczesna forma wiersza znana w Polsce, jako tzw. „awangardowa” w oparciu o nasycenie treścią mocniejsze, niż to które przywykliśmy oglądać w utworach tzw. „polskiej awangardy” i „autentystów” przedwojennych. Dążenie do rzetelnego wysiłku i ucieczka od pospolitej łatwizny cechowała większość utworów

przedstawianych do konkursu. Słabą natomiast stroną większości utworów był nieprzetarty światopogląd autorów i nie zawsze dostateczna zdolność wywoływania wzruszeń poetyckich – słaba strona również przedwojennej „awangardy”.

Bardzo typowe dla konkursu utwory zgłoszone pod godłem „Paweł Późny”³ właśnie nie dawały zamierzonego wzruszeniowego efektu, gdyż poza stosunkowo opanowanym stylem zdradzały nieprzetarty światopogląd autora o przewadze wzruszeń i reminiscencji czysto osobistych.

Podobne opanowanie rzemiosła poetyckiego cechowało utwory „Andrzeja Obcego”⁴.

Przy ocenie utworów jury starało się przyjąć jako kryteria:

1. Wysiłek artystyczny, formalne dociągnięcie autora do treści, o r y g i n a l n o ś ć p r z e ż y c i a .

2. Dojrzały stopień samowiedzy artystycznej, który pozwala autorowi nie tylko na tworzenie i notowanie własnych, oryginalnych przeżyć i wzruszeń, ale daje również szansę narzucenia swych wzruszeń odbiorcom: dążenie do p o r o z u m i e n i a z c z y t e l n i k i e m , uwieńczone rozszerzeniem przeżycia autorskiego na koło konsumentów poezji.

Jak widzimy więc z założeń na jakich stanęło jury wynikało, że sama szerokość przeżycia, niepodparta odpowiednim wysiłkiem artystycznym, nie wystarczała do korzystnego zakwalifikowania utworów, nawet gdyby wzruszały dzięki swym wartościom treściowym, np. niepozabawiony ekspresji „Raport” (godło: „Jerzy Kres”⁵).

„Miasto diabła” i inne utwory pod godłem „Iks” uległy ujemnej krytyce z innych przyczyn. Impresjom tym brak syntezy uchwytnej dla odbiorcy. Na razie pozostają tylko

niewykończonym eksperymentem (komponowanie z samych prozaizmów). Słabą stroną jest tu pewna „inteligenckość”, łatwizna.

„Ród Anhellich”, istotniejszy z wierszy „Marka Chmury”⁶, podobnie jak inne jego utwory, jest przykładem „awangardy” w konkretnym, prawie niewolniczym wydaniu. Zaletą wiersza jest pewna powaga treściowa.

„Karol Topornicki”⁷, autor wiersza „Wczorajszemu” wykazuje zdolność wywoływania napięć dramatycznych. Jest to poezja na wskroś retoryczna.

Wiersz „Trubadur” pod godłem „Parvo”⁸, to liryka refleksyjna w pełnym znaczeniu. Autor osiąga już to, co można nazwać obiektywizacją przeżycia.

Duży wysiłek artystyczny wykazały utwory „Marka Zaleskiego”⁹. Daje się odczuć myślowe zgłębianie tematu. Zwłaszcza liryk prozą „Ranny Różą” daje nam prawdziwe wzruszenie. Jest to rzeczywiste doznanie artystyczne. Autor wzbil się ponad eksperyment, retorykę i osobiste zamyślenie.

Jury postanowiło przyznać:

I nagrodę w sumie 100 zł. za utwór pt. „Ranny Różą” zgłoszony pod godłem „Marek Zaleski”

II nagrodę w sumie zł. 30 za utwór pt. „Trubadur” zgłoszony pod godłem „Parvo”

III nagrodę w sumie 20 zł. za utwór pt. „Wczorajszemu” zgłoszony pod godłem „Karol Topornicki”

W międzyczasie odbyło się głosowanie publiczności, która wyróżniła utwory Andrzeja Obcego.

Przewodniczący zebrania po złożeniu podziękowania członkom jury za bezinteresowną pracę w pierwszej publicznej imprezie „Sztuki i Narodu”, zwrócił się do laureatów konkursu z prośbą o wypowiedzenie się na temat własnej twórczości.

Pierwszy zabrał głos Marek Zaleski.

„- Proszę Państwa!

O sobie samym, tym jakby prywatnym mówić mi trudno. Wszystko powinny za mnie powiedzieć moje utwory. Jeśli nie mówią – świadczy to o ich niedoskonałości tylko.

Chcę natomiast wspomnieć o sprawach, które stały się, czy stają ogólnymi.

Siły, które się sprzegły, aby zaprzeczyć faktowi naszego istnienia państwowego i narodowego działają z bezwzględną konsekwencją. Usiłują bowiem sięgnąć w głąb: drogą mechanicznych utrudnień chcą nam odebrać prawo do twórczości, aby w ten sposób zniszczyć i tę wolność najistotniejszą – wewnętrzną. Jeżeli mimo to tworzymy, jeżeli zdobywamy się na świadome organizowanie poetyckie naszych przeżyć, to zbyt łatwe, a na pewno fałszywe było by nazwanie tego faktu gestem buntu tylko. Jest to raczej odpowiedź konsekwencją na konsekwencję. Gotowi do walki o wolność państwową – stwierdzamy spokojnie i mocno, że nietknięta jest nasza wolność wewnętrzna.

Pozbawieni stałego kontaktu z odbiorcą – tym łączywiej wychytujemy sposobność taką, jak dzisiaj, aby na chwilę choćby uzyskać dystans między nami samymi, a tymi przeżyciami zorganizowanymi już, osobnymi, znajdującymi się poza nami. W takiej chwili recytowanie wiersza

urasta do aktu rzutowania wolności wewnętrznej na płaszczyznę zbiorowości. I wtedy doprawdy nieważna jest wielkość tej zbiorowości i miejsce i forma odbioru. Pozostaje tylko jako uczucie, jedyne i pochłaniające wszystko – lęk:

- czy jednak naprawdę jesteśmy z nimi?

W rytmie kroków oczywiście innym – ale czy jednak w marszu tym samym? Czy trafnie nadajemy imiona nie tym samym myśłem przecież, ale czy jednak tej samej atmosferze, tęsknocie jakiejś niewypowiedzianej jeszcze przez nich, a już nadciągającej nieuchronnie?

Jeśli tak – cele konkursu – jak je rozumiem, zostały osiągnięte.

I jeszcze jedno: udziałem w konkursie „Sztuki i narodu” kończę zasadniczo mój okres poetycki i poświęcam się już całkowicie prozie. Utwory przedstawione Państwu były raczej tylko lirycznymi pauzami w moim łamaniu się z problemami prozy. Pauzy te odczuwam jako słabości, chwilowe zdrady istotnych zamiarów twórczych.

Żegnając się z moją przeszłością liryczną, dziękuję sądowi konkursowemu za łaskawą jej ocenę i krytykę.

Przyznaję, że wyróżnienie, które mnie spotkało w takiej formie było dla mnie przy ogólnym dość wysokim i wyrównanym poziomie – zaszczytną niespodzianką”.

Następnie zabierali głos kolejno „Parvo” i „Karol Topornicki”; dziękując jury, organizatorom i publiczności.

(s.b.) [Bronisław Onufry Kopczyński]

RANNY RÓŻA

Ruiny miasta?

Ależ nie. To wystrzyżone fantastycznie i prymitywnie z czerwonoszarej tektury proscenium wędrowniej szopki.

Po środku pięciu „chłopców malowanych” – malowanych zielenią i rozpaczą.

Pod pachą każdy ma kijek maleńki, wystrugany gładko, którym można by poruszać te figurki wypchane pół na pół trocinami i muzyką.

Ach potrząśajcie białymi mandolinami i całujcie melodie proste w sam środek liścia złożonego na pół przy ustach.

Jeszcze chwila a u warg wam muzyka gałązkami rozmarynu zakwitnie.

Jak to ładnie i jak śpiewnie tak się pytać ciągle i tak ciągle nie wiedzieć – Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani? –

Teraz koła przejeżdżających samochodów muzykę po powietrzu rozciągnął.

Z białego nieba pada deszcz stukroplisty.

Jest zbyt zwyczajny abyśmy go mogli zrozumieć.

Deszcz bomb stukroplisty z nieba czarnego.

Ach nim doleci do ziemi – to niebo czarne z przed oczu powiekami rozgarnie

Deszcz straszny i rześisty – uderzy w struny mandolin kroplami – „pąkami białych bzów”.

Jak boli --

Marek Zaleski [Wacław Bojarski]

ZIELONY POMNIK

Przechodzącemu Krakowskim Przedmieściem niedbale i potocznie koło zburzonego pomnika Wdzięczności –

– jakim trudem wznieść mi to uczucie proste a pomnikowe przecież -

– żeby wypełnić ten brak kamienny w powietrzu potocznym i niedbałym?

Chyba tylko powietrza tego do płuc nabrać –

– z wdzięczności, że przecież mimo wszystko –

– jestem.

I teraz patrzę:

Na trawnikach wynajęci staruszkowie ziemię kamyczastą i szklastą malutkimi łopatkami ciapią.

Niezdarni i mrużący cichutko tajemnicze dziaduniowe piosneczki.

Tak się nam ziemia śpiewnie i powoli napoczyna.

Jak to tak można? Jak można?

Ponad nimi przecież rosną drzewa i słupy tramwajowe – wysokie.

Megafony na drzewach i słupach krzyczą wojnę.

Wojną rozchwiane gną się i szumią drzewa.

Teraz karabin maszynowy nienawistnie koszący liście z drzew pamiętam.

Teraz –

– liście chmurami czerwonej żółtości od drzew jesiennych odpadają

– jak słowa kłamliwe.

To było. A choć jest już przedwiośnie:

Suchymi konarami w górze klekocze wojna.

Jak to tak można? Jak można?

Ależ na to, żeby w tej chwili pochylać się tak nad ziemią ledwie napoczętą i posłusznymi grabkami
grudki koloru ciemno-blond głaskać –

– i tak prosić:

– no, rośnij, rośnijże, soczysta!-

– na to trzeba być starymi herosami, rzucającymi siwe brody łagodnie na wiatr.

Kiedy się wreszcie piach koloru ciemno-blond, kawałki cegieł, szkła i tej ugornej, przyulicznej
niemożliwości jakiejś –

– kiedy się dadzą herosom w podartych jesionkach –

– uprosić o zieleń –

– odrośnię w próżni bolesnej święty pomnik wdzięczności –

– Wdzięczności dla własnych sił, że oto, mimo wszystko –

– jesteśmy!

Marek Zaleski [Wacław Bojarski]

TRUBADUR

Zegary były poranne godziny szóste,
gdy oparty o własną samotność grajek wędrowny
dumał na tle kontyny szatańskiej, ogromnej –
na progu wojny.

...a obok stało drzewo, a na nim małe gniazdo – puste...

Dwadzieścia trzy lata trubadur szedł,
by usłyszeć wreszcie współczesne organy;
dźwięk samolotu na płytę niebios nagrany,
by słyszeć oddalonych strzałów, jak modlitwy szept,
modlitwy za umarłych w boju.

I uczył się ów wędrowiec wprawdzie nie świętym,
lecz tej kontyny zbędnym ornamentem,
jak widoczne właśnie puste gniazdo w drzewach.
I pojął,
że o własną samotność oparty
pójdzie dalej i będzie – śpiewał.

Parvo [Witold Kozłowski]

WCZORAJSZEMU

Ufałość: na niebo, jak na strunę miękko złożysz dłoń,
muzykę podasz ustom, utoczysz dotknięciem,
łukiem wiersza wysokie księżycowe tło
wprowadzisz w bezmiar dolin –
Modlitwę nocnych cieni rozwieszisz, jak więcierz
na słodkich oczach dziewann i szumach topolich.

Ufałość: trzepot ptaków rozsiejesz ziarnisty,
rozległą piersią ujmiesz horyzonty, w których świat
pływa mały, jak z dzieciństwa okręci.

Klechda z omszałych lat,
– świty w klechdzie powiewały krwawe –
do snu kołysała dzieci.

Taką klechdą przełamał się dzień
walczącej
Warszawy.

Wtedy –
rozwiody się nad miastem ornamenty łun
na złotych kolcach wieżyc i bełkocie Wisły,
muzyka – lecz nie nieba – krążyła jak sen,
dziś wiesz:
to skowyt strzałów na brukach się wił,
otaczał, chodził wokół, jak zbłąkany zwierz.

A tobie dni wczorajsze w oczach nie ostygły,
ufałeś...

Księżyc sierpem zmrużone rzęsy kosił,
wśród krzyżów zwijał światła purpurową nitkę;
żołnierze nieśli drżące spokorniałe oczy
na sfruwającą powietrzem,
białą Nike.

Falował spokój w ciepłej darni,
kiedy młodzi plecami wsparci o wieczność
odchodzili w głębokie posłania.
Więc okryły ich obłoki podobne kulistym mleczom
i wiatr, któremuś wierzył – składał pocałunki umarłym.

Nie wiedziałeś, że dłoń, którą uczyłeś śpiewać
potrafi nienawidzić i pięścią grubieć pełną,
gniewu unosić żagiew –
Ufałeś. Nie ukoił twoich ust śpiew drzewa
i oczu blask nie zajął pod kopułą hełmu
i serca nie nasycił krzyk wbity na bagnet.

Dzień rozbrój z woni siana. Sandały zielone
niech zostawi przed progiem, na którym go czekasz –
odejmij pustkę oczom, gdy w smutku zatoną
i nie daj mówić wiatrom o liliowych zmierzchach.

Bo kłamią, bo śpiewają gorejącą lawą,
bo znowu dłoń na niebo, jak na struny złożysz,
muzykę podasz ustom – –

Dzisiaj –
w piaskach cmentarzy
powiędły echa strzałów,
wiruje błękit niski, jak wczoraj łaskawy,
jak lustro.

Każ trawie, by milczała. Jej śpiew cię zadławi,
spowije watą wzruszeń i ciśnię w niepamięć.
Nim ockniesz się, już serce zagubisz w obrazie
i dłonie w przerażeniu milcząco załamiesz.

Dzisiaj
inaczej ziemię witać!
Wierzyłeś: słowiczym pieniem wierszy popłynie sława barda
i wszędzie w barwnych tęczach, obudzi się w mitach.

Nie tak.

Nazbyt duszno jest słowom na wargach
ciosanym z łun i żalu o wadze kamienia –

Myślałeś będzie prościej.
A tu słowa, śpiewne słowa trzeba zamieniać,
by godziły, jak oszczep.

Karol Topornicki [Tadeusz Gajcy]

UDAJEMY, ŻE ISTNIEJEMY GDZIE INDZIEJ

Dziwne są drogi, jakimi spaceruje warszawska intelektualistyczna myśl „przeciętnie kulturalnego” człowieka. Mieszkański spacer dla zdrowia, tuż przed snem, przestał już wystarczać. Intelektualistyczna warszawska myśli rozumie już rzeczywistość na tyle, aby wiedzieć, że w „takich czasach” można już tylko cierpieć.

Rozumie, że w „takich czasach” współczesną rzeczywistością żyć nie sposób. Że coś się tam przecież zawaliło, dokonały się jakieś przerastające świadomość błędy, że horyzonty kultury stoją w słupach ognia, słupach nie boskich, ale szatańskich, antychrystowych, wiodących na pokuszenie. Że dzień dzisiejszy nie potrzebuje już gwiazd spadających, komet ani archaniołów dmących w trąby...

Apokalipsa dzieje się bez tego. Dzieje się oto przerażająco łatwo, nie napotyka na żadne opory, sfera kultury jest przecież (dla przeciętnie kulturalnego!) – sferą próżni, procesów łatwych i wyprzedzających myśl...

Ach – ach! Świadomość łapie sama siebie na gorącym uczynku konstatowania końca świata. Więc to już?! Koniec? – tak właśnie, neuroczyście, antykulturalnie i właśnie już?

No – a jeżeli wrócić? Odtworzyć w sobie przeszłość, bieg czasu – najpierw tego czasu intymnego, wewnętrznego, a potem tego międzyludzkiego czasu kultury – odwrócić wstecz, kazać nurtowi czasu płynąć w przeszłość, w to, co już raz kiedyś było, jeżeli naprawdę – wrócić? Ach, czy tego nikt nie rozumie!

Dzieje się oto kulturalny kataklizm, antypatyczny, brutalny, niedorzeczny koniec kultury. Ideologie, które były – doprowadziły nas

nad jakąś krawędź. Krawędź czego? Co za ideologie?

Nie, to przecież nie jakieś pojedyncze, proste hasła czy reklamowe programy – to kompleksy, konstelacje, supły, węzły gordyjskie myśli i woli.

Cała rzeczywistość wali się. Rozpętało się zło. Szatan zdjął maskę i ukazał się taki, jaki jest: irracjonalistyczny, pragmatystyczny, woluntarystyczny, potwornie silny. Słupy ognia na horyzoncie kuszą jedyną już rozkoszą – samozatrata.

Żyć w takim świecie? Przeżyć naprawdę rzeczywisty, dosłowny koniec świata? To nieważne jakiego świata, dość że w takim świecie przywykliśmy żyć. Że światu temu zawdzięczamy siebie!

Tak przecież było: świat szedł sam, na własną rękę, fatalistyczny, nieunikniony – a my byliśmy tylko śladami odcisniętymi na piasku stopami czasu!

No i doszło wszystko do końca! Ciągłe jeszcze staramy się zakłamać, że to tylko retoryczny patos, że to poezja, hiperbola „biblijnych słów”. Ale kiedy staramy się jakoś ująć świat w kategorii kultury, czujemy, że kultura przeżywa właśnie swój potworny, rozpaczliwy, nie-do-przyjęcia koniec świata.

I wtedy...

Wrócić, cofnąć się...

To już nie instynktowne, mimowolne cofnięcie się przed fizycznym ciosem, niebezpieczeństwem czy czymś podobnym.

To świadome, kosztujące nawet dużo intelektualnego wysiłku – cofnięcie się, zawrócenie nurtu kultury... Zawinił pragmatyzm – a więc

uniknąć go, wycofać się z pragmatyzmu. Zawinił także irracjonalizm nietzscheański?

Ach, nie! Po co to dzielić?!

Uciec od razu z całego drugiego półwiecza XIX. Oprzeć się od razu o romantyzm!

Jaki, czyj, w jakiej fazie ma być ten zainscenizowany nasz romantyzm? Czy nasze paryskie konsekwencje wyciągnięte przez polskich emigrantów mistyfikować? Nie. Tamto było, tamto jest dzisiaj teatrem dla nas...

Więc?

Więc nawet tu, w naszych ciężeniach do osiągniętej syntezy, do zawrócenia ku „złotemu wiekowi”, tak dalekiemu dzisiejszym kataklizmom świata, nawet tu towarzyszy nam śmiertelna Apokalipsis.

Sprawdzają się wszystkie prorocstwa! Umarli naszej kultury powstają oto z grobów, wracają z zaświatów czasu w świat teraźniejszości.

Pęka ziemia zygzakami czarnych błyskawic. Czy słyszycie dźwięk trąb archanielskich? Grzmot wzywający na sąd? Nie. Nikt nie dmie w trąby, to my sami... sami tylko.

Jesteśmy archaniołami dnia ostatecznego, społeczeństwami antychrystów, szatanem.

Jesteśmy wszystkim, czym nas stworzył świat. Sąd?

Tak. Mamy dużo grzechów i cnót, ale przecież sądzić nas nie można. Przecież my jesteśmy niewinni, nieodpowiedzialni, sterroryzowani samodzielnym, konsekwentnym dzianiem się świata.

W naszej ucieczce ku dniom stworzenia, ku romantyzmowi, dzieje się już sam przez się dalszy ciąg Apokalipsis.

Niewinni jesteśmy...

Bez wyjścia jesteśmy...

Warszawska myśl intelektualistyczna męczy się, torturuje, potęguje sama rozmiary straszności – nie mogąc zaakceptować dnia dzisiejszego – widzi jedno jedyne wyjście: ucieczkę w przeszłość.

Zupełnie tak, jakby nie istniało drugie, dla człowieka jedyne – przyszłość.

Jeżeli głosi się, że jesteśmy humanistami, to bądźmy nimi choć na tyle, aby pokonać w sobie swą deterministyczną historiozofię, swój pogląd, jakoby to świat nas stwarzał, a nie my świat.

Zdecydujmy się na ocenę kończącego się świata. To bynajmniej nie jest obojętne: ile on był wart! Na gruzach końca kultury zamiast piekła dzisiejszości zacząć tworzyć przyszłość. Otrząsnąć się z Apokalipsy. To nic, że ona może jest, że dzieje się dzisiaj... Tak samo działo się w roku 1789 i w roku 1848, i w roku 1914, znacznie częściej nawet... Nieomal każdy z ludzi musiał przeżyć jakąś tam swoją Apokalipsę. Trzeba przejrzeć tylko tę tajemnicę, że każdej Apokalipsie musi towarzyszyć nasza ludzka Księga Genezis, że my nie mamy czasu czekać na jakąś historyczną kolejność jednej i drugiej, obie muszą dziać się jednocześnie, dosłownie każdego dnia.

Przyszłość musi się różnić czymś innym niż numerami dat wyższymi od numeru 1942, przyszłość musi przestać się dziać, musi zacząć się tworzyć!

Ale panom intelektualistom nie wystarcza to bynajmniej. Dla tych panów nic się przecież nie zmieni. Znowu będzie potężna gra sił, znowu zmartwychwstanie irracjonalizm. Mniejsza z tym, co będą kształtować te siły, nieważne, kto będzie właścicielem tego irracjonalizmu!

Co znaczy jakość wobec ilości!

Dla panów intelektualistów to, co najstosowniejsze: realna możliwość tworzenia

tęgo, co się chce, jest właśnie marginesem, jest w ogóle czymś, czemu nie można dowierzać.

Nigdy nie wiadomo, jaki diabeł siedzi w nas ukryty. Cała nasza jakość – rzekomo pozytywna – może się okazać negatywna. Ważna jest ilość siły. Hitleryzm jest silny i rozpętał zło. Wniosek: siła jest złem. Nie, że siła może być zła, ale że każda siła musi być – zła. Tym jesteśmy lepsi, im jesteśmy słabsi. Powinno nas w ogóle nie być.

Wtedy?

Czy ja wiem, co wtedy? Możliwe, że bylibyśmy świętymi na przykład, nie wiem zresztą.

Panowie intelektualści uśmiechają się tonem wyższości. Po co jeszcze stale babrać się w tej ideologii socjalnej, w polityce, nawet w rzeczywistości życiowej! Kto tu cokolwiek może poradzić?! Świat kłapie bestialsko szczękami marksizmu i totalizmu, pożera ostatnie ochłapy człowieczeństwa, wypełnia sobą wszystko.

Nie tylko sferę faktów, nawet sferę ideologii. Żadna nasza ideologia nie zmieści się już w tym wymiarze. Pozostał nam wymiar metafizyki...

No, czyż teraz nie jest już wszystko jasne?

Powinno nas nie być, ale jedynie tutaj, jako ludzi, którzy walczą o nową ideologię społeczną, o nową organizację, o nowy profil świata.

Zamiast tego będziemy królować w wymiarze metafizyki, gwiazd, pozaludzkiego.

A jak to będzie naprawdę?

Nie. Nie można przecież wszystkiego, co się tu mówi, brać dosłownie. My tylko będziemy udawać, że jesteśmy nie tutaj, a właśnie gdzieś indziej, gdzieś bardzo daleko, w sferze bezwzględnej racji. W istocie będziemy i tu, i tam, a tylko tak na razie... na niby.

...a później, kiedy już wszystko przeminie, wrócimy z tej naszej Wielkiej Gwiazdzistej Emigracji ze swoją własną racją, z absolutem...

I wtedy będziemy tu na ziemi?

– Ach, wtedy już można będzie być czymś słabym, cherlawym ideologicznie, można się będzie obejść niczym. Bez żadnych zobowiązań.

Więc?

Ach, jak wy nic nie rozumiecie, a to wszystko takie jasne: wtedy będziemy Demokracją.

Demokracja sama przez się, jako system ideologiczny, jest powojowo chwiejna, nieuzbrojona myślowo: niepodobieństwo, aby mogła się oprzeć takiej na przykład dialektyce marksistowskiej. To niepodobieństwo należy do najgłębszych przekonań panów metafizyków i demokratów. Panowie ci boją się dialektyki materializmu dziejowego zupełnie dosłownie. Mają do niej taki stosunek, jak by to był nie rok 1942, ale epoka młodości jakichś Bucharinów, Plechanowych i innych. Nie dostrzegają tego, co się dzieje teraz właśnie, co reprezentuje choćby totalizm.

Nie dostrzegają, że materializm dziejowy albo już zupełnie w łeb bierze, albo – jak to kiedyś, pisząc o Marksie, stwierdził Brzozowski – właśnie umożliwia społeczeństwu świadome tworzenie własnej historii. Pozwala zawładnąć rzeczywistością.

Uwzględnia w rachunku historycznym tę wartość, o którą potykała się dotychczas polityczna wola narodów.

Totalizm jest próbą okiełznania ekonomii wolą polityczną.

Ale jeżeli już z zasady wyklinamy wszelką siłę, a więc i silną wolę (bo jakość woli, jej kierunek jest dla nas czymś nieważnym!) – to pewnie, że i to nie jest dla nas wyjściem.

Jest wtedy jedna jedyna możliwość: być słabym, udawać, że właściwie istniejemy gdzie indziej, być krypto-demokratą...

Tu już panów deterministów i metafizyków zastępują panowie obrońcy kultury.

Mglisty ideał demokracji okazuje się tu czymś dla kultury jedynym. Tylko w ustroju demokratycznym może istnieć naprawdę kultura.

Bo czymże ona jest?

Myśl nienowa zresztą, ale poparta takimi autorytetami, że i z nią trzeba się zmierzyć.

Kultura – mówią ci panowie – jest to miejsce na indywidualne prawo do protestu!

Tak.

To, co jest tylko warunkiem, możliwością, potencjałem kultury, to, co jest tylko zagonem pod kulturę, dla panów intelektualistów jest już kulturą samą.

Nie trzeba mnie przekonywać, że musi istnieć w człowieku jakaś specjalna sfera, gdzie odbywa się indywidualna ocena rzeczywistości. Możliwość aprobaty czy dezaprobaty.

Ale to jeszcze kultury, proszę panów, nie stworzy. Taka dezaprobatą barbarzyństwa.

Kulturą zrealizowaną, a nie potencjalną jest powiedzenie wobec rzeczywistości, mając do wyboru: tak – nie, właśnie – tak!

To jest organizowanie rzeczywistości w głąb!

Kultura jest tym trzecim wymiarem, który zjawiskom płaszczyznowym, dwuwymiarowym jak cień, nadaje wymiar trzeci – wymiar prawdziwości. Dzięki niej osiągamy zrozumienie przebiegających zjawisk. Rzeczywistość staje się zrozumiała, a więc prawdziwa... coraz prawdziwsza.

Kultury, tak jak zwykłego poznania, nie można osiągnąć inaczej niż przez czyn.

Dopiero z tworzenia rzeczywistości, dopiero przez dobrowolne związanie się z ruchem zbiorowym może powstać we mnie wartość kulturalna.

Panowie zakładają w swoich rozumowaniach jako pewnik, że jednostka i zbiorowość muszą stać wobec siebie w opozycji, że konflikt jest nieunikniony.

Przy takich założeniach – istotnie – wszelka praca jednostki dla zbiorowości ma charakter pańszczyzny. I przy takich założeniach rzeczywiście pozostaje jedynie demokracja, której wymagania wobec jednostki są nieśmiałe i łatwe do zaspokojenia.

Ale przy założeniach, że pomiędzy wolą polityczną i wolą kulturalną istnieje współdziałanie oparte na konieczności tworzenia własnej, nowej rzeczywistości, przy takich założeniach nie wolno już mówić o kulturze jako o takim miejscu w świadomości człowieka, w którym człowiek mówi wobec rzeczywistości: – nie!

Panom deterministom, metafizykom, demokratom, ludziom „kultury” i tym wszystkim innym, z którymi spotkamy się tutaj za następnym razem – oświadczam: że my nie będziemy udawać, że właściwie istniejemy gdzie indziej. Bo nasza kultura, nasza metafizyka, nasza polityka nie są gdzie indziej niż my.

Nie potrzebujemy od nich uciekać!

Uznajemy, tak jak panowie, Absolut – i prawdę, i rację bezwzględną, ale nie uznajemy systemu „podlizywania się” Absolutowi, systemu jego protekcji. Wszelkie osobiste, prywatne konszachty z Absolutem panów metafizyków czy innych – są niepoważne.

W walkach międzyludzkich jesteśmy wobec Absolutu równouprawnieni.

Nie dlatego zwyciężymy, że broni nas system wartości absolutnych, przeciwnie: – to system wartości absolutnych musi zwyciężyć dlatego, że my go bronimy.

Panom deterministom, metafizykom, demokratom i ludziom „kultury” oświadczam, że nawet w „takich czasach” decydujemy się poruszać „takie” sprawy i że ten ich system „przemilczania” i „kompromisów między sobą” nie budzi w nas najmniejszego szacunku.

Różnimy się zbyt zasadniczo, aby wyrównywać te różnice przemilczeniem.

Panowie zbyt łatwo zrezygnowali, wobec opanowania naszej rzeczywistości przez systemy ideologiczne wrogie nam, a my znowu zbyt naszą rzeczywistość cenimy, aby z niej móc zrezygnować, aby ją móc zostawiać na pastwę jakimś tam demokracjom czy totalizmom i tym wszystkim innym, lucyferycznym, wrogim siłom rozpętanym w dzisiejszości.

Stanisław Łomień [Andrzej Trzebiński]

„SNOPEK ŻYCIA I OSTU”

Z cyklu „Z walk o współczesną lirykę” nr 1.

I.

Jakakolwiek hierarchia w liryce współczesnej, sprawa jakiejś precyzyjniejszej oceny tego, czy innego poety, tego, czy innego liryku są tak niepopularne, ma się tyle i tak zagmatwanych zarzutów, że pytania w rodzaju: „Kto jest współcześnie największym lirykiem polskim?”, wydają się czymś wprost bezwstydny, lub co najmniej dowodzącym naszej ciekawości, wścibskości, prowokującym do odpowiedzi: „O, ciekawość zupełnie na miejscu!”.

Tymczasem ukrećcie łba problematyce wartości w sztuce nie jest bynajmniej czymś naturalnym. Oczywiście ta zjawia się tylko czasami w pewnych epokach kulturalnych, jest tylko przywidzeniem oczywistości, jej gorączkową, chorobliwą halucynacją.

Sprawa hierarchii wartości – choćby to były tylko wartości liryczne: artystyczne, formalne, życiowo niepraktyczne – jest sprawą higieny kulturalnej, jest momentem w najwyższej mierze pedagogicznym, etycznym, i to w zakresie znacznie szerszym niżby się to mogło pozornie zdawać.

Pedagogicznym i etycznym już nie tylko estetycznie, ale i życiowo.

Sztuka jest w pewnym sensie metafizyczną awangardą twórczości ludzkiej. Jest placówką najdalej wysuniętą w Nieznane, w Poza-dotychczasowe, w nawet w – Poza-historyczne.

Hierarchia wartości artystycznych musi być hierarchią intuicyjnie elastyczną, – możliwie – niezracjonalizowaną jeszcze, musi być tak, jak sama sztuka, wychylona w mgławicę wartości Niestworzonych, Nieoswojonych, nieludzko Obcych...

Musi szukać jako jedyne punktu oparcia, naszych najgłębszych, najtwardszych den osobowości.

Hierarchia wartości artystycznych jest najbardziej indywidualną i bezpośrednią z wszystkich hierarchii wartości.

Jeżeli w pewnych epokach problematyka wartości staje się obcą, jeżeli stawia się argumenty „contra”, to przeważnie nie jest to dowodem niczego innego, jak tylko osamotnienia indywiduum – owej jednostkowej świadomości

kulturalnej, jakby powiedział Stanisław Brzozowski – dysharmonii między życiem, prądami dążeń i zespołami wartości społeczeństwa i – pojedynczego człowieka.

Indywidualizm czuje, że jego najgłębsze siły psychiczne zdążają dokądś tam osamotnione, w poprzek niejako prądom społecznym. Wypowiadanie się szczerze musi być jednocześnie buntem.

I tak właśnie, – buntem rozwiązywało się to nieraz.

Tak rozwijał się np. konflikt romantyczny. Ale w ubiegłym dwudziestolecu jednostka straciła już wiarę w prawo do buntu, straciła już zaufanie do samej siebie, postawiona ponad jakimś tam quasi-nurtem sił społecznych i rzekomo coraz to bardziej uspołeczniona.

Wyrzekano się samego siebie, wyrzekano się człowieka w imię jakiejś fatamorgany prądów zbiorowych, wielomilionowych, – zupełnie tak, jakby wielomilionowe prądy zbiorowe płynęły same przez się, powstawały już nie tylko poza „świadomością kulturalną jednostki”, ale w ogóle poza człowiekiem.

II.

Zarzuty przeciw hierarchizowaniu liryki współczesnej należą do dwu kategorii: poważnych tzn. takich, które właśnie mają pomóc w ustaleniu ostatecznych kryteriów hierarchii, i niepoważnych tzn. takich, które stanowią tylko wyraz czyjegoś impulsywnego i nawet nie dość zracjonalizowanego niezadowolenia.

Na zarzuty niepoważne (czyli paradoksalne, dowcipne i już zupełnie głupie) nie odpowiadam. Próbkę podobnych zarzutów zestawiam w rozdziałku pt. „Gabinet figur woskowych i myśli dziwacznych”.

Zarzuty poważne – pozostawione pozornie bez odpowiedzi, rozbudowane jedynie – powinny stać się same przez się pożywną konstrukcją hierarchii.

III.

Zarzuty poważne: Wielkości poetów nie dają się zestawiać ani porównywać. Wielkość artysty opiera się na twórczości, a wszelka istotna, dosłowna twórczość jest wywołaniem z nicości rzeczy za każdym razem innych, innych niż wszystko co jest wydobywaniem z siebie wartości niewspółmiernych, inno-płaszczyznowych, niemożliwych do porównania.

W jaki sposób przygotować dla liryki kryteria oceny, jeżeli liryka ta musi być nieprzewidywalna, niemożliwa w ogóle do wywrócenia – ?

W liryce nie na tym przecież polega trudność, że artysta nie umie napisać jakiegoś pięknego liryku, ale na tym, że nie wie on w ogóle, co jest prawdziwie piękne.

I dlatego, jeżeli mówi się o sztuce „łatwej” i „trudnej”, to nie ma się (a w każdym razie nie powinno się mieć) na myśli wykonania, tzw. „techniki”, gdyż wykonanie w liryce jest zawsze przerażająco łatwe; łatwe aż do demonizmu.

Ignacy Witkiewicz niesłusznie oburzał się na określenie – „sztuka trudna” i niepotrzebnie zestawiał tę „sztukę trudną” ze sztuką prawdziwego cyrkowca, który mimo wszystkich trudności artystą nie jest. Trudność sztuczki cyrkowca polega na wykonaniu, trudność sztuki artysty polega na trudności dowiedzenia się, co właściwie jest pięknem, a co brzydota.

Bo co jest prawdziwie piękne, tego nikt z nas nie wie.

– A sztuka która jest już gotowa, sztuka dawna – ?

To jest dla mnie istotne i ważne: sztuki dawnej w ogóle nie ma. Nie dlatego, że jej nie było, bo owszem – była, ale dlatego, że jej w ogóle być dzisiaj nie może. To nie jest pytyjskość ani szyfr... Oto mniej więcej: sztuka, liryka jest wywołaniem w człowieku metafizycznego poczucia dziwności, jak chciał tego Ignacy Witkiewicz, czy może prawdziwej: sztuka, liryka jest medium poprzez które poznajemy absolutną i niepowtarzalną tajemnicę piękna. Tajemnicę pojedynczego dnia, pojedynczej i gorzko osamotnionej w kosmosie czasu godziny. Tajemnica spala się oślepiająco, jak błysk magnezji. Później pozostaje obdarta z blasku, poza-metafizyczna, już tylko zwyczajna i życiowa – ładność, harmonijność, nieraz jeszcze mniej...jeszcze mniej...

Sztuki dawnej nie ma i być nie może. Sztuka jest ciągłym odkrywaniem teraźniejszości, columbiadą piękna.

Czas uzwykla, oswaja i postarza. Piękno nie umie się zatrzymać w momencie osiwienia, jednocześnie zaczyna łysieć. Sztuki dawnej nie ma. Można ją niekiedy intuicyjnie rekonstruować, ale będzie to sztuka „na niby”. Szczere przeżycie procesu podczas którego dowiadujemy się od artysty poprzez medium sztuki – co jest piękne, – może być tylko jednorazowe. Później następuje automatyzacja, produkcja oleodruków wzruszenia...

Tymczasem dla niektórych cały ten proces dowiadywania się od artysty tajemnicy piękna, przedstawia się odpychająco. Mówi się o eksperymencie. Trzeba zbierać rzekomo doświadczenia i oczekiwać osiągnięć.

Coś co mnie zawsze zastanawiało: od sztuki, która jest czymś dynamicznym, która rozpatrywana jako całość, jest procesem jak samo

życie, oczekuje się osiągnięć punktów zahamowania, nieruchomości.

Ale czyż istnieje jakakolwiek sztuka, która nie byłaby eksperymentem – ? Jeżeli ma się coś przeciw eksperymentom, to dlatego co najwyżej, że często są one eksperymentami pozaliterackimi. Futuryzm np. w większości wypadków stwarzał swoje eksperymenty poza sferą sztuki, nie żeglował ku żadnym wyspom, archipelagom, Amerykom nowych tajemnic piękna. A że jednocześnie ponosił to swoje małe, niebolesne męczeństwo w imię eksperymentu, więc stąd i cała zła sława tego ostatniego.

Eksperyment, to przecież ta pojedyncza i niepowtarzalna estetyczna prawda chwili. Tej a nie innej. Jeżeli jakieś dzieło sztuki jarzy się, długo goreje, wybucha coraz to nowymi erupcjami blasku, to tylko dowód, że dzieło to wiąże w sobie eksperymentów dużo, bardzo nawet dużo, jakiś tajemniczy snop, niespolaryzowany jeszcze, związany magicznie jakoś, istniejący w różnych płaszczyznach, w wielu chwilach...

Przewrotnością nazwałbym wymienienie pewnych nazwisk i utworów niby-to wiecznych. Niby-to jakichś-tam osiągnięć. Zupełnie tak, jakby te nazwiska i utwory kiedyś i dziś oznaczały to samo jakby trwały w nieruchomości. Nie rozumie się, że ta niby-to wieczność, te niby-to osiągnięcia nie są niczym innym jak większym od dotychczasowych snopkiem różnorodnych eksperymentów.

Problem osiągnięcia tkwi więc w ilości i – podkreślam to – jakości: niewspółmierności, inno-płaszczyznowości, różnorodności związanych w jeden snop eksperymentów. I to czarodziejstwo, tę niesamowitą magię wiązania ośmieliłbym się dopiero nazwać formą, prawdziwą formą sztuki

którą się tak często utożsamia z pewną poprawnością techniczną. (u Skamandrytów np.)

Tymczasem o eksperymencie nasz przeciętnie niekulturalny (mówiący o sobie z chełpliwą pokorą jako o „przeciętnym” i to nawet „kulturalnym”!) czytelnik liryki myśli dziwnie nieudolnie, bezradnie. Kojarzy mu się nazwa eksperymentu lirycznego z eksperymentem naukowym: spodziewa się po nim jakiejś ogólnej i niezmiennej prawdy artystycznej, zdobycia jakichś wartości nie do zaprzeczenia. Albo jeszcze inaczej: wierzy się, że taki eksperyment może się przysłużyć innym późniejszym poetom. Że Awangarda może stanowić przygotowanie poezji przyszłości, nagromadzić jakieś spichlerze skondensowanego liryzmu, poetyckiej urody.

Przyjdą „prawdziwi” poeci – myśli się nieraz – wyzyskają te eksperymenty, czy „zdobycze” awangardy i osiągną coś raz na zawsze niezmiennie pięknego: dojrzałość np., mądrość, jakąś nawet pomnikowość wynikłą z bezruchu form. I nie tylko myśli się. Wojna obecna nawet tu nie oszczędziła nam szkód; wojna ta sprowokowała wszystkich przeciętnie niekulturalnych do chóralnego pomruku, że „eksperymentów już dość”, że „takie czasy” powinny być czasami zmyślenia, że jeżeli te zdobycze i te zapasy (to niby eksperymenty!) naprawdę są i to takie znakomite, to czas je teraz – w czasie wojny właśnie – napocząć, przyrzędzić na sposób jadalny, pożywić się nimi.

Co za potworne operowanie fikcją, alegorią, kłamstwem, wszystkim co najgorsze. Trzeba raz zdemaskować ten mit kulturalny „prawdziwych poetów”, którzy przyjdą, którzy już zaczynają przychodzić, aby „osiągnąć”.

Jedynym rzeczywistym, porywającym osiągnięciem w sztuce jest tworzenie Nowego, jest

wiązanie magicznych, lśniących gwiazdzisto i diamentowo snopów z wielu niewspółmiernych inno-płaszczyznowych, niemożliwych do porównania eksperymentów.

IV.

Wnioski praktyczne: nie utożsamiam tego co napisałem z twórczością awangardy. Przeciwnie. W awangardzie wyczuwam pustkę i brak „argumentów rzeczowych”. Pojedynczy zaledwie i to bardzo pojedynczy poeci działają na mnie swymi lirykami jako dziełami sztuki.

Piszę to jednak bez rozgoryczenia, gdyż wiem, że zawsze tak było: poetów było mało i zjawiali się pojedynczo, rzadko i krótko, – prawie nigdy na całe życie...

A w snopkach, które wiazali ci rzadcy, pojedynczy poeci, sporo wiązało się bezwiednie, wbrew woli nawet: życia, i sporo różnych ostów, nie-ostów, ale owych „eksperymentów” – prawdziwej liryki wyrosłej na twórczym przeżyciu artystycznym – wiązało się ubogo i skromnie.

I dopiero przy takiej pesymistycznej pozornie wierze uniknąć można tej drażniącej i obraźliwej, a potocznej sentencji o poetach, że im więcej na świecie poetów, tym mniej na nim poezji...

V.

Gabinet figur woskowych i myśli dziwacznych: hierarchizacji liryki – szczególnie liryki współczesnej – jest uważana w pewnych kręgach kulturalnych jako dziwactwo, bezsens lub barbarzyństwo. Stawia się zarzuty, które nie wymagają odpowiedzi, którym wystarcza do samobójstwa jawne, otwarte sformułowanie.

1. Hierarchizacja dzieje się *ex post*. Nam brak jeszcze perspektyw czasu. Brak dystansu. Dopiero historia – norwidowska „korektorka wieczna”

ustala ostateczne rangi... (tylko, że rangi czego: grobowców, Wawelów, Skałek itp., czy rangi świeżych, prawdziwych przeżyć artystycznych – ?)

Albo inaczej i paradoksalniej: ocenić, to znaczy nie zrozumieć. (z cyklu: „zrozumieć, to przebaczyć”.) Ocenić naprawdę, to znaczy dotrzeć aż do tych najistotniejszych pokładów wartości, które z kolei są tak oczywiste, tak naturalne, tak powszechne, że świadomość przestaje się już nimi niepokoić, przestaje je w ogóle zauważać. Współczesność w swoich najistotniejszych warstwach jest dla współczesnych tak oczywista, że jej w ogóle nie umieją dostrzec, że się o tym w ogóle nie mówi.

2. „Hierarchia i aktualność”. To – albo tamto, jedno – albo drugie. Hierarchizowanie aktualności – to kwadratura koła, bykołak, oksymoron, paradoks. Teoria jest mniej więcej taka: Zespół aktualności tworzy coś w rodzaju formy utworu, zespół hierarchii – treść. Otóż jeżeli celem liryki ma być łapanie chwili *in statu nascendi*¹⁰, czy ładniej: wyławianiem jej jedności

i niepowtarzalnego czaru to gdzie tu miejsce na hierarchizację – ?

„Purnonsens”¹¹ – jakby powiedział Witkiewicz.

„Liryka jest samą formą, tylko formą” – jakby powiedział jakiś-tam żubr Awangardy.

3. Liryka nie była nigdy sztuką. I to było jej zdrowie właśnie. A dopiero ostatnio wpadła w jakieś maligny aryzmu, stała się „głosami wśród nocy” wołającymi o sztukę.

Tymczasem musi być samo życie, i żyto ponadto, i te osty nie-osty, i kąkole biblijne, i maki, i bławatki i w ogóle ważne są snopy tylko z tego: pachnące, polne, kolczaste nawet...

I musi być dużo, bardzo dużo, ogromnie wprost dużo – łań. Łanie na łąkach i polanach. I to jest prawdziwa liryka „*et toute la reste c'est la...*”¹²

...i przeto módlmy się do poezji o prawdziwą poezję i o snopek, o wielki snop... łań zżętych na polskich łąkach...

Stanisław Łomień [Andrzej Trzebiński]

JEDEN DZIEŃ Z ŻYCIA WITOLDA GRABCA

Mojemu surowemu Krytykowi –
z wyrazami szacunku.

Cztery dni minęły od chwili, gdy na brzegu chodnika przy kościele Karmelitów legły strasznie zmasakrowane zwłoki Witolda Grabca.

Wtedy właśnie, cztery dni temu do tego okropnego miejsca zbliżała się krokiem muzycznym poprzez niebieskie powietrze wiosenne pachnące sobotnim popołudniem, uśmiechnięta dziecinnie, nierozumiejąca jeszcze całego wypadku – Elżbieta.

W liście do Antoniego Wiatracza wyjaśniała wszystko swoim szkolnym regularnym charakterem pisma: Nie mogła się doczekać na telefon i wyszła naprzeciw nich. Przeczuwała, że pójdą do Sejmu właśnie pieszo. To śmieszne! Przeczucia Elżbiety magicznie zgadzały się w odniesieniu do spraw najdrobniejszych i błahych. Ale rozpoznać w człowieku zabitym tak tragicznie i głupio właśnie Witolda? To już było

ponad siły przecuć, czy choćby spostrzegawczości Elżbiety.

Gdy Antoni Wiatracz wrócił z pogrzebu przyjaciela do swojego nowego mieszkania na Kruczej, do którego zaczynał się już powoli przyzwyczajać i usiadł w skórzanym niewygodnym fotelu, uświadomił sobie nagle, że przecież w tamtej strasznej chwili wstrząsnął nim najbardziej nie widok tego ciała zwiniętego pokraccie, z nogami zwiniętymi w kabłąk, podkulonymi kurczowo w spazmie przedśmiertnym i rękami rozrzuconymi desperacko, jakby usiłującymi zebrać troskliwie rozprysnięte po chodniku białe bryzgi mózgu, ale właśnie ten widok Elżbiety podchodzącej do grozy nielogicznej śmierci z uśmiechem spokojnym i zapominającym.

Oparł się łokciami o biurko i zaczął bezwiednie powoli pocierać w jednym tylko kierunku końcami palców. Ruch ten zawsze koncentrował mu rozproszone myśli. Pod suszką leżał ostatni list Elżbiety. Wziął go znów do rąk po raz już chyba kilkunasty.

„...o czwartej. Proszę do mnie na razie nie pisać i nie dowiadywać się o mnie. Może zostanę tu na dłużej, a może raczej wyjadę jeszcze jutro. Tymczasem nie wiem na pewno. Wiele przecież zależy od tego, jak się ułożą sprawy z moją nową posadą. Zresztą i o tym myśleć teraz nie mogę. Chcę zostać teraz sama z moimi przeczuciami, z których Pan czasem żartował.

Teraz chcę Panu powiedzieć o czymś, co mnie jeszcze wczoraj męczyło. To było przypuszczenie. Dzisiaj przemieniło się w pewność, więc już mnie nie dręczy, ale dzieje się za to ze mną coś takiego, czego Panu powiedzieć nie umiem.

Pan znał Witolda lepiej niż ja, więc będzie Pan wiedział o tym wszystkim dokładniej. On musiał

popęłnić coś złego. Co to było konkretnie, tego ja się nawet nie domyślam, ale wiem tylko, że to musiał być grzech jakiś ciężki, którego nawet odpokutować nie można. I dlatego to się musiało stać. Jego śmierć była postanowiona! Wie Pan? – Mnie się zdaje nawet, że on sam musiał o tym wiedzieć. Kiedy poznałam go tam, na leżącego na chodniku – zobaczyłam nad nim oczy mściwego Boga. Ja tego Panu nie umiem opisać, ale to było straszne!”

Wiatracz nie kończąc listu, odłożył go na poprzednie miejsce. Znów wrócił przypomnieniem do pogrzebu Witolda. Gdy jakoś dziwnie pośpiesznie w kilkanaście osób opuszczali cmentarz, nad którym łopotały tylko sztandary Legionu Polski Idącej i cisza nieuspokojona jeszcze po przemówieniach nadgrobnych. Wiatracz znalazł się przez chwilę koło panny Kamili.

Sam nie wiedząc kiedy zaczął podkładać myśli Elżbiety pod swoje słowa, starając się nadać im sens spokojny i logiczny.

Było już bardzo ciepło. Kamila owinęła do tyłu czarny welonik, zasłaniający jej twarz z jednej strony i słuchała zwilżając w zadumie wargi końcem języka. Wiatracz poczuł, że jego jak mu się wydawało, jasny oczywisty styl płacze się w niewyrażonej do końca mistyczości myśli Elżbiety, podawanych teraz za swoje. Zapytał wręcz co Kamila o tym myśli. Odezwanie to było nie tyle prostackie, co niezgrabne. W każdym razie uwalniało jednak od sytuacji, która zaczynała być kłopotliwa.

Odpowiedziała natychmiast. – Oczy mściwego Boga, wie Pan? – Kiedy udaje mi się wydostać na chwilę z jakiejś potwornej bezświadomości wszystkiego, która mnie nie opuszcza od tamtego dnia, – myślę wtedy bardzo podobnie. Aż dziwne, że tak podobnie!

– Tak! Zemsta Boga. – dodała po chwili. Ale nie za to, co się zwykło nazywać normalnie grzechem! Czy pan przypuszcza, że istnieje jakikolwiek grzech, jakiegokolwiek przestępstwo człowieka przeciw ludziom czy rzeczom, gdzie musiałby interweniować Bóg?

Nie odpowiedział. Z tyłu usłyszał półgłówną komendę a potem miarowy stukot butów wpieranych twardo i spokojnie w ubitą nawierzchnię alei cmentarnej. To Legion opuszczał cmentarz.

– Bóg – mówiła dalej – może chyba tylko mścić się za wystąpienia przeciwko Niemu Samemu. Pewnie to trochę dziwnie brzmi dla pana, że mówię z takim pietyzmem o Witoldzie. Pan, mimo wszystko, mógł nie odczuć jego wielkości. A to był człowiek wielki, mocny człowiek. Mówię to, proszę mi wierzyć, bez egzaltacji kochającej go kobiety. W nim tkwiły możliwości, o jakich nie śniło się historii. I tej jego siły właśnie zląkł się mściwy Bóg i zniszczył go na godzinę przed jego pierwszym krokiem do wielkości. – Więc chce pani powiedzieć, że Bóg zląkł się wniosku o dekoncentracji produkcji, z jakim miał wystąpić Grabiec? – Kamila nie zwróciła uwagi na ironiczny ton zapytania. – Tak! – odpowiedziała poważnie. – Pan był przecież przyjacielem Witolda, znał go pan dobrze, choć zaledwie tylko tak, jak może znać mężczyzna mężczyznę. Wystąpienie Grabca – pierwszy raz nie powiedziała o nim po imieniu – wystąpienie Grabca w Sejmie odbyłoby się wśród okoliczności, które byłyby ponad siły zwykłego człowieka. A wie pan przecież dobrze, że jego charakter kształtował się bezwzględnie właśnie przez przeciwności. Grabiec na pewno, na pewno pokonałby tę przeszkodę. Zwyciężyłby i stałby się jeszcze silniejszy. Jeszcze kilka takich prób, a mógłby zagrazać już nie systemowi ekonomicznemu, a czemuś więcej.

O tym właśnie pamiętał Bóg, który nienawidzi ludzi mocnych. Dlatego właśnie on musiał umrzeć! I proszę pana, jestem dziwnie przeświadczona, że on... Spojrzała krótko, jakby lękliwie na Wiatracza i znów utkwiała wzrok w przemijającej wolno czerwonoszarej nawierzchni alei. – ...że on o tym od dawna wiedział. – Kamo! – Weźmiemy taksówkę, rzekła nieco za głośno matka Kamili, idąca równolegle do nich po drugiej stronie alei z jakimś starszym panem i małą dziewczynką, która kopała przed siebie jakiś cierpliwy kamyk.

– Wszystko, co mówiłam – rzekła Kamila, podając Wiatraczowi rękę na pożegnanie, wyda się panu może nieco naiwne. Trudno mi w tej chwili zebrać słowa jakoś porządniej. Ale przecież to właśnie jest jedynym wytłumaczeniem jego śmierci. Przecież bez tego wytłumaczenia jego śmierć nie ma żadnego sensu!

Teraz, siedząc przy biurku, Antoni Wiatracz jeszcze raz wsłuchiwał się uważnym przypomnieniem w ten dwugłos kobiecy o Witoldzie Grabcu. Był wyraźnie zaskoczony wewnątrz podobieństwem tonu, a nawet niektórych zwrotów w opiniach tych dwu tak różnych kobiet o jednakowo pewnie kochanym przez nich mężczyźnie. Jakże to możliwe, żeby Elżbieta, kierująca się chyba zawsze intuicją i Kamila, analizująca drobiazgowo chyba wszystko, mogły razem wpaść w jeden ton mistycznego zapamiętania? Pomyślał nagle, że może wszystkie kobiety stałyby się choćby na kilka sekund do siebie podobne w chwili, gdyby zabito im jednocześnie ludzi, których podobnie kochały. – Ach głupstwo! – rzekł półgłówno w nagłym zniecierpliwieniu. Jednocześnie zaczął bębnić palcami po blacie biurka. Spostrzegł, że spłoszył w ten sposób wróbla, zagląającego przekrzywionym ciekawie łebkiem przez uchylone

okno do pokoju. – Głupstwo, głupstwo ! – powtarzał w myślach niemal z pasją. – Nawet dwie przeczulone kobiety nie dają jeszcze gwarancji jednej sensownej prawdy”. A obie właśnie uparły się, żeby znaleźć jakiś głębszy sens w fakcie tamtej niespodziewanej śmierci.

Właśnie śmierć sama w sobie jest przecież czymś najbardziej sensownym i racjonalnym, a biologiczne istnienie człowieka przeciwnie: jest faktem niezrozumiałym, cudownym, niezwykłym. Życie jest tak dziwną i trudną sztuką, że wystarczy chwila nieuwagi, żeby się wychylić w śmierć. W tej chwili doznał przykrego uczucia. Zdawało mu się, że mówi cudzymi słowami i nie mógł sobie przypomnieć czy rzeczywiście, a jeśli tak, to kto je wypowiedział. Było to męczące nad wyraz. Znów zaczął bezwiednie pocierać skronie końcami palców.

– Oczy mściwego Boga! – myślał po chwili nieco spokojniej. – Co za nedorzeczność uczuciowa, którą można przecież związać równie łatwo z grzechem, jak z wielkością. Więc jak? Jak naprawdę?

Odepchnął się rękami od biurka i wstał z fotela. Zaczął przecinać ukośnie obszerny gabinet szybkimi, niecierpliwymi krokami.

Męczyło go to nieznośnie, że nie może się jakoś oddalić od tej fatalnej śmierci, nie potrafi znaleźć obiektywnego dystansu między swoim życiem, a śmiercią tamtego. Czuł, że jeśli nie zdobędzie się teraz na możliwość przyjrzenia się spokojnie, z boku tamtemu nagłemu faktowi, jeśli nie znajdzie dla niego żadnego sensu, leżącego poza nim, to nie uspokoi inaczej tego uczucia, które powstawało w nim upartym i narastającym udręczeniem, potęgującym się z każdą sekundą i z każdym krokiem.

Podszedł do biurka i patrzył w okno. Niebo wypalone słońcem podniosło się wysoko. Miało teraz kolor jasnozielonkawy, niewyraźny, daleki. Na parapet przyfrunął znów wróbel. Przechylił cudacznie mały łebek i ćwierknął pytająco.

Wiatracz wciągnął silny haust powietrza do płuc i przetarł czoło dłonią. Zrobiło mu się nagle jakoś jaśniej, prościej, oczywiście.

– Ach, o czym ja właściwie myślę! Przecież to po prostu przypadek, zwyczajny przypadek. Nieuważne wychylenie się z życia, sprowadzające śmierć niezależnie od ciężaru gatunkowego grzechu czy wielkości. Równie łatwo, właśnie przypadkowo, można zgubić życie czy paczkę papierosów. I na tej przypadkowości śmierci, na tym nieustannym hazardzie z nieoczekiwanym polega cały sens cudowności niezwykłego faktu, że żyje. Dopiero w takich wypadkach jak śmierć Witolda ujawnia się ta prosta prawda tak wyraźnie i oczywiście. Jego śmierć wydawała mi się niepojętą i bezsensowną w zestawieniu z życiem. Ale w ten sposób nie można się w ogóle doszukiwać żadnego sensu, bo życie i śmierć są przecież czymś tak od siebie różnym, że porównać ich nie podobna. Sens jego śmierci tkwi w niej samej. A życie? Życie jego pozostało obok, osobne, obce tej śmierci, ze swoim własnym odrębnym sensem. Jeśli się chce szukać w tych wypadkach jakiegoś metafizycznego znaczenia, to można by tylko powiedzieć, że Witold został zabity, aby dać świadectwo istotnemu sensowi przypadkowej śmierci.

Wiatracz pochylił się naprzód i pchnięciem ręki otworzył okno zupełnie.

– Ach, tak! – pomyślał jeszcze. – Siła życia Witolda polega właśnie na tym, że znajduje się ono gdzieś tam o parę ulic i o cztery dni stąd nienaruszone, niezatarte, niemożliwe do

pogodzenia ze śmiercią właśnie przez jej fatalną nagłość.

Tamten dzień, jeden zwykły dzień z życia Witolda Grabca, wydał się teraz Antoniemu Wiatraczowi czymś niesłychanie bliskim, obecnym, dzisiejszym.

 Winda wyłożona taflami luster sunie lekko w górę. Tylko przy mijaniu każdego z pięter przy drzwiach krótki chrobot.

– Trzeba będzie piłować! – mruczy niejasno, na pół do siebie, czerwona i wąsata portierska osoba. Antoni Wiatracz przytakuje machinalnie. Mimo wszystko nie potrafi ukryć lekkiego podniecenia. Chłonie przesadną uwagą każdy szczegół i dźwięk, zbliżający go do mieszkania przyjaciela.

Trzy razy w równych odstępach chrobocze jakieś niespiłowane licho – i już. To tu.

Dzwonek do drzwi jakiś długi, niecierpliwy.

– Czy zastałem pana Witolda Grabca?

W ciemnym przedpokoju nie można od razu rozpoznać twarzy chudego osobnika, który otworzył drzwi Wiatraczowi.

– Kolega poseł nie przyjmuje dzisiaj nikogo.

Wiatracz zniecierpliwił się.

– Ależ proszę... – proszę powiedzieć panu posłowi, że przyszedł Wiatracz, Antoni Wiatracz. Jestem pewien, że mnie przyjmie.

– Wątpię! Kolega poseł przed posiedzeniem nie przyjmie nikogo obcego.

– Być może. Ale ja właśnie nie jestem obcy. Jestem starym przyjacielem pana posła. – W głosie Wiatracza narastało zniecierpliwienie.

Nieznajomy spojrział na niego z pobłażliwym współczuciem.

– Jakby pan był przyjacielem to by pan był w partii!

Wiatracz zaniemówił. Był zirytowany silnie tak błahą, a jednak stanowczą przeszkodą odgradzającą go od Witolda, który znajdował się pewnie tuż za którąś z tych szaro tapetowanych ścian przedpokoju. Nie mógł zdobyć się na jakąkolwiek odpowiedź spośród tylu racji oczywistych i wystarczających do usunięcia z drogi tego młodego draba, pozbawionego marynarki i trzymającego znacząco klamkę. Sytuacja stawała się strasznie głupia.

– Kolego Maliniak! Kolego Maliniak, co tam tak długo! – zawołał ktoś nagle z bliska głębokim barytonem.

Ten głos – Czyżby?

– Kolego Maliniak, jesteście tu?

Drzwi wewnętrzne otworzyły się szeroko i na progu stanął w szelkach, nieuczesany, z rozpiętym kołnierzykiem –

– Bądźcie łaskawi zanieść mi...

– Witek!

Postać w szelkach szybkim mruganiem powiek przeciera ciemności przedpokoju.

– Tolek do jasnej!...

Podbiegli ku sobie impulsywnie, chwycili się za ręce i zaczęli się zamaszyście cmokać i poklepywać, obaj zaskoczeni spotkaniem, rozemocjonowani i – zakłopotani trochę.

Pierwszy ochłonął nieco Grabiec.

– A ty skąd? Stało się co? Dlaczego tak nagle, bez zapowiedzi!

– Nie, no nic takiego! Zresztą po kolei, po kolei! Podobno nie przyjmujesz teraz nikogo.

– Ależ co ty! Bracie przecież lata cię nie widziałem. Trochę mam w prawdzie urwanie głowy przed moim dzisiejszym przemówieniem w Sejmie.

– Wierzę, słyszałem –

– No, widzisz! Nawet jeszcze nie jestem ubrany. Ale nie będziesz się mnie chyba, chłopie, krępował.

– Naturalnie, że nie! Pozwolisz więc, że zdejmę płaszcz i gdzieś go powieszę.

Wiatracz odzyskał już zupełnie panowanie nad sytuacją. Mógł wreszcie znów poruszać się i mówić spokojnie, rzeczowo, porządnie.

– Mam chłodny, obserwatorski stosunek do rzeczywistości! – nieco za gorliwie upewnił się wewnętrznie. Chciał zapomnieć o niedawnym nerwowym podnieceniu. Zdjął nieprzemakalny płaszcz i machinalnie przejrzał się w lustrze. Musnął lekko ręką krótkie czarne wąsy na dokładnie opalonej twarzy i poprawił nieco zmaconą linię przedziałka, dzielącego na nierówne części trochę szpakowate włosy.

– Kolego Maliniak, bądźcie łaskawi zanieść mi tę kartkę do państwa Niepomyskich. Nie mogę się dodzwonić, a obawiam się, że niedługo wyjdą.

Stanowczy i ironizujące cerber stał teraz przy drzwiach pokornie, służbiście.

– Tak jest!

– No, więc chodź, chodź teraz do gabinetu! – zwrócił się Grabiec do gościa.

Weszli do pokoju o gładko jasnozielono pomalowanych ścianach. Łóżko niedbale, pośpiesznie zarzucone kołdrą, na biurku spiętrzone bezładnie książki, rękopisy.

– Ależ tu u Ciebie bałagan!

– Tak, owszem! – uśmiechnął się bez zakłopotania Grabiec. – Przed chwilą dopiero wstałem, bo pisałem trochę w łóżku. Wiesz przecież: lubię w ten sposób pracować rano. Dlatego też nawet sobie wstawiłem łóżko do gabinetu. Proszę, siadaj!

– Dziękuję.

Długa chwila zakłopotanego milczenia. Grabiec stojąc przy biurku szukał czegoś niecierpliwie wśród kartek jakiego maszynopisu.

– Powiedz mi, cóż to za dziwny typ otwierał mi drzwi? Tytułował cię „kolego pośle”.

– Ach, to cała historia! – Grabiec wyprostował się znowu. Znalazł między papierami spinkę i zaczął nią pośpiesznie manipulować przy kołnierzyku. – Cała historia – powtórzył. – Kiedy przyjechałem z Ameryki, zgłosił się do mnie, jako kucharz i lokaj. Chłopak okazał się bardzo porządny, pracowity, inteligentny, więc byłem z niego zupełnie zadowolony. Potem, mniej więcej w dwa tygodnie po moim wstąpieniu do Legionu Polski Idącej, jakoś tak nagle, bez większej racji czy przekonania, zaproponowałem mu, żeby poszedł na zebranie grupy robotniczej. I wiesz? Strasznie chłopaka wzięło. – Poprosił mnie o lekturę, coraz częściej wszczynął ze mną wieczorami nawet coś w rodzaju dyskusji i po miesiącu został członkiem organizacji.

– No, i –

– A właśnie! Tu dopiero wszystko się dopiero zaczyna. Powiedziałem, że jako mój partyjny kolega, nie zechce chyba być moim lokajem. Mogłem mu się postarać o jakąś przyzwoitą pracę w fabryce. Tymczasem on niespodziewanie się sprzeciwił. Po prostu błagał mnie, żeby go zostawić. No i cóż! Ja dopiero wtedy spostrzegłem, że zdążyłem się do niego szczerze przyzwyczać, więc został. Pod tym jednak warunkiem, że zmieni się nasza wzajemna tytułatura.

– Tak sobie osobliwie demokratyzujesz!

Grabiec wiązał przed lusterkiem szaro-granatowy krawat.

– Hm, że osobliwie to prawda. A, z tą demokratyzacją... No, od razu widać, że niedawno do nas przyjechałeś. Jeśli chodzi o konkretny

wypadek, o Maliniaka, to zdaję sobie sprawę z tego, że cię ta historia trochę nieco razi swoim łatwym morałem, ale, wierz mi, że naprawdę dużo rzetelnej satysfakcji sprawia mi to wyciąganie lokajskiego indywiduum do poziomu człowieka, przez którego się dzieją wielkie sprawy. Ja w takiej chwili czuję się naprawdę związany z nim rzeczywistym koleżeństwem. Ja sam przecież dopiero stosunkowo od niedawna – Ach, o tym musiałbym ci opowiadać dosyć długo.

– Ba, trudno! Poczekam na stosowniejszą okazję – rzekł Wiatracz głosem chłodnym, spokojnym bez ironii. – Ciekawy jednak jestem, jak nazwiesz swoje postępowanie. Pewnie nie komunizmem.

– Ach, nie! Rzeczywiście nie! Idealną formę współżycia komunistycznego udało się wprawdzie osiągnąć tylko w Sowieckiej Rosji, ale na niewielkim stosunkowo obszarze.

– To znaczy? – Wiatracz uniósł ciekawie brwi.

– Na wyspach Sołowieckich!

– A!

– Tak mój drogi! Grabiec zapinał kamizelkę. – Wydaje mi się, że u nas komunizm nie przyjmie się nie dlatego, że jesteśmy zbyt ostrożni wobec wszelkich anachronistycznych bzdur. Przeciwnie! Wszelkie anachronizmy przyjmują się u nas łatwo. Jest tylko jedna wydaje mi się przeszkoda: Należałoby nas całkowicie oduczyć historii. Tak. My bardzo chętnie, nawet tylko dla romantycznej fantazji, umieramy za ojczyznę i służba dla narodu jest u nas funkcją instynktu, nałogowo siedzi nam w kościach. Ale jeszcze może mocniej usadowiła się tam niechęć do zmian socjalnych. Rezygnacja z naszych socjalnych pozycji jest dla nas tak oczywiście i wyraźnie odgraniczona od obowiązków wobec narodu w całej naszej bogatej tradycji, że długo jeszcze możemy być spokojni

o komunizm. Ustrój komunistyczny nie przyjmie się u nas na pewno aż do dnia, w którym wszyscy uczniowie wszystkich szkół nie zwagarują z lekcji historii wraz z nauczycielami. A jeśli jesteś ciekawy – dodał po chwili – jak ja nazywam –

Pukanie do drzwi.

– Proszę!

Wszedł Maliniak i w milczeniu podał Grabcowi wąską, niebieską kopertę.

Wiatracz zmarszczył czoło i splótł ręce na poręczu fotela. Dopiero teraz uświadomił sobie dokładnie, co go tak zastanawiało i niepokoiło niemal w postaci przyjaciela. Ten Witold krzątający się pośpiesznie po pokoju, tak przecież trywialnie wyglądający w nocnych pantoflach i niebieskich gumowych szelkach, ten Witold tak przecież daleki w tej chwili od wszelkiego wymuszania i pozy miał w sobie jednak przedziwną, jakby to nazwać? – no powagę chyba. Powagę jakąś oczywistą, autorytatywną, bezkompromisową, a jednak naturalną. Tak naturalną, że się o niej w pierwszej chwili nie myślało jako o czymś dziwnym czy rażącym w swoim groteskowym przecież zestawieniu. Ta naturalność i oczywistość właśnie gniewała niemal Wiatracza.

Grabiec tymczasem skończył coś mówić do Maliniaka i znów zwrócił się do gościa.

– No, jestem już ubrany. Nareszcie możemy jakoś porządniej pogadać! – usiadł w fotelu naprzeciwko. – Opowiadajże! Kiedy przyjechałeś? Dlaczego nie pisałeś przedtem? –

– Wczoraj rano przyjechałem do Gdyni. Wczoraj byłem w Warszawie. Przespałem się i oto jestem u ciebie. Cóż chcesz? Wypadało przecież po dwóch latach obejrzeć wreszcie kraj. W zeszłym roku, jak wiesz, nie udało mi się przyjechać na Boże Narodzenie, mimo, że zapowiadałem swój przyjazd na pewno. Nie, nie

jestem przesądny, ale tym razem wolałem nie zapowiadać.

Grabiec schwycił go za ramię i serdecznie potrząsnął.

- Cieszę się, bardzo się cieszę, żeś przyjechał. Wyglądasz ciągle jednakowo. Czuję, jakbyśmy się dopiero tydzień temu widzieli. Przyznam ci się tylko, - To dziwne, ale dopiero teraz spostrzegam, że masz jednak nieco chropowaty, zamerykanizowany akcent.

- Ach! - Wiatracz uśmiechnął się z lekkim zakłopotaniem.

- No, ale opowiadaj! Opowiadaj co tam słycać z naszymi znajomymi.

Wiatracz z milczącą wysiloną uwagą zaczął sprawdzać dokładność kantów u spodni.

- No? - przynagłał Grabiec.

Dzwonek telefonu zaterkotał krótko.

- Słucham? - Tak. - Aha. - Poproście wobec tego kolegę kierownika do mnie na drugie śniadanie. Tak będzie, sądzę najlepiej. - Dziękuję. -

Grabiec odłożył słuchawkę.

- Zostaniesz u mnie na śniadaniu, dobrze? Zobaczysz kierownika Legionu i może jeszcze kogoś - uśmiechnął się tajemniczo do siebie. Po chwili dodał: Dobrze się składa żeś przyszedł właśnie w takiej chwili. Rozmowa z tobą nastraja mnie jakoś lżej, pewniej. Nabieram całkowitej swobody, która jest mi przecież tak potrzebna przed dzisiejszą sesją nadzwyczajną w Sejmie.

- A właśnie, właśnie! ożywił się znów Wiatracz. - Przyznam ci się, że nawet termin mojego przyjazdu tak sobie specjalnie ułożyłem, żeby zdążyć na twoje przemówienie.

- O! Doprawdy? - zdziwił się uprzejmie Grabiec.

- Drwi ze mnie, czy nie? - pomyślał Wiatracz, nieufnie marszcząc brwi.

Spojrzał w okno. Czuby kasztanów rosnących zapewne na podwórku gięły się kolejno na wszystkie strony pod naporem niezdecydowanego, ale narastającego wichru. Skąd ten wiatr w to słoneczne, spokojne rano? - pomyślał machinalnie. Potem rzucił krótko:

- Więc dekoncentracja pewnych gałęzi przemysłu?

Dwukrotnie zamyślane, wolne skiniecie głową.

- Tak! Tak! Świat się poważnie skurczył od czasu wielkiego rozwoju prasy. Nie myślałem, że aż tak się o tym trąbi.

- Tak! - dodał po chwili. - Dekoncentracja. O nią właśnie chodzi. Ale nie o nią tylko! To, co cię zapewne doszło z jakiejś politycznej kuchni, jest jak gdyby jedynie anegdotą mojego wniosku. W istocie chodzi o coś więcej.

Grabiec wstał i z rękami założonymi do tyłu zaczął wolno, rytmicznie przemierzać gabinet.

- Chcę - zaczął mówić jakby do siebie - żeby z mojego przemówienia wynikało ostatecznie nie nowe lekarstwo na usprawnienie produkcji, nie załatwienie konfliktu między importem, a eksportem, nie uderzenie w kapitalistyczne serce, czy w bezplanowość gospodarczą, nie to, nie to, nie! Ale tylko troska o człowieka. O tego człowieka, który był dotąd beztwórczym, bezdusznym ciągle tym samym gnojem cywilizacyjnym bez względu na wieczne nowe formy socjalno-ekonomiczne. Nowy, tworzący człowiek, to właśnie mój drogi, wizja, która organizuje całkowicie wszystkie moje projekty ekonomiczne. Człowiek, który przestaje być bezduszną maszyną produkcyjną, nienawidzącą swojej pracy, a staje się - twórcą. - Daje część siebie, w każdym przedmiocie przez siebie wytwarzanym. Cały fiskalizm. -

Dyskretne, przyciszone pukanie. Wszedł Maliniak.

- Goniec od kolegi Powiewalskiego z sekretariatu.

- Aha! Czego on tam chce? Przepraszam Cię mój drogi na chwilkę.

Grabiec wyszedł z gabinetu.

Za oknem wicher wznosił teraz bezładnie tumany kurzu, prześwieczonego silnymi promieniami słońca. Niebo było bezchmurne, czyste, zwarte w mocnej błękitnej barwie.

Po krótkim czasie Grabiec wrócił. Stał przy biurku i zaczął porządkować papiery. Dopiero po chwili Wiatracz spostrzegł, że Witold robi to automatycznie, niemal bezwiednie. Twarz miał nieco bardziej bladą, surową.

Telefon zabrzączał niespodziewanie i niecierpliwie.

- Słucham -- Tak! -- Wiem. Był u mnie goniec. -- Nie. Nie! Dziękuję. -- Odmawiam. Stanowczo, odmawiam.

Grabiec położył słuchawkę.

- Pluskwy! - cisnął pogardliwie.

Wiatracz spojrział pytająco.

- Tak, powiem ci! - rzekł Grabiec z hamowaną pasją. - To cię od razu najlepiej zorientuje w naszym życiu politycznym. Sygnalizują mi z partii, że pewne koła demaskują nieopatrznie swoje - no! - odruchy. Na mieście zaczyna się lekki niepokój. No więc - rzucił po chwili oschle - proponowali mi eskortę w drodze do Sejmu.

- A to wszystko - ? zaczął pytająco Wiatracz.

- A to wszystko - przerwał mu zimnym, spokojnym, ale stanowczym głosem Grabiec - dlatego, że się kilku durniów zaniepokoiło o dalszą egzystencję błogosławionej nudy państwowej. To, mój drogi, - mówił dalej nieomal pobłaźliwie - typy, jak dotąd, nieśmiertelne. Sytuacja zmienia się tylko w zależności od tego czy stanowią oni, w danej chwili większość, czy mniejszość. Są

wszędzie. W każdej dziedzinie. Na terenie ekonomii można ich poznać bardzo łatwo po kurczowym trzymaniu się bez względu na warunki niezwykle wygodnego schematu: jak największy odpływ ludności z kraju i jak najobfitszy przyływ kapitału zagranicznego do kraju. Sprowadza się to do krótkiego pobożnego życzenia, żeby obcy wykonali za nas pracę podniesienia gospodarstwa narodowego.

- A żadnej pracy nikt nie wykonuje z darmo! - dokończył Wiatracz. - To chcesz powiedzieć?

- A, no właśnie, właśnie! Ale o tym spokojni ludzie, których jedynym czynem państwowym jest niezłomne niesprzeciwianie się bierności, nie chcą pamiętać. A przecież, myśląc w ten sposób do końca, należy dojść do wniosku, że niepodległość jest zjawiskiem o wartości bardzo wątpliwej i umownej. Ale oni do końca nie myślą i ożywiają się tylko wtedy, kiedy ktoś chce im zamącić błogosławioną nudę.

Grabiec stał naprzeciwko siedzącego przyjaciela. Mówił bez zdenerwowania, ale silnie, stanowczo, bezwzględnie.

- Niezłomne durnie! Ale my ich - Grabiec wykonał ręką krótki, mocny ruch - złamiemy!

Przez chwilę trwała cisza.

Wicher cieniutko, wysoko pobrzękiwał na sąsiednim dachu płatami źle dopasowanych blach. Grabiec poczęstował przyjaciela papierosami i usiadł znów naprzeciw niego.

- W tej chwili zresztą mniejsza o nich! - rzekł - Znacznie lepiej zrozumiesz mnie po dzisiejszej sesji. Na razie opowiedz mi raczej coś o sobie! Co się tam u was przez tyle czasu działo? Ciekawy jestem czy czcigodny Pawłosio, nestor waszej kolonii nie zmienił znów zapatrywań? -

- O, naturalnie! - uśmiechnął się Wiatracz. - Nawet kilka razy! Ostatnio nawet do tego stopnia,

że musiał się wyprowadzić. Mieszka teraz, wiesz, w tym samym domu, w którym pracowała za twoich czasów Elżbieta.

Grabiec drgnął lekko a potem w krótkim zamyśleniu powiódł dłonią po czuprynie.

- A, Elżbieta! Tak, - tak! Więc teraz powiadasz pracuje gdzie indziej?

- O, tak! - Wiatracz znów się uśmiechnął. Tym razem tajemniczo. - Więc nie zapomniałeś o Elżbiecie? - zapytał jakoś dziwnie ciepło. -

- Ależ, skąd znowu! Pamiętam, doskonale pamiętam! Miła dziewczyna. Bardzo ją lubiłem!

- Więc, Witoldzie! Posłuchaj! - Wiatracz w nagłej decyzji położył Grabcowi serdecznie obie ręce na kolanach. - Posłuchaj! Ona jest tutaj.

- A! - Grabiec patrzył na niego, jakby nie rozumiejąc o co chodzi, nieruchomy, z ustami na pół otwartymi.

- Przyjechała razem ze mną - mówił szybko Wiatracz. - Umówiliśmy się, że po rozmowie z tobą zadzwonię do niej i umówię wasze spotkanie.

- Po co?

Grabiec zadał to pytanie tonem przerażająco chłodnym.

- Po co? Mój drogi! - Wiatracz wyjaśniał cicho, nieco pośpiesznie! - To chyba ty wiesz najlepiej. Prawie od dwóch lat nie pisałeś do niej. Przez ten czas działo się z nią - no! ja ci teraz tego nie potrafię opowiedzieć, chociaż ciągle, przez całą drogę myślałem, jakby ci to wyjaśnić możliwie najlepiej. Cóż! Kiedy dwaj zrównoważeni, trzeźwi mężczyźni rozmawiają o takim kobieciątku, takim małym intuicjonizującym stworku, to zawsze wszystko musi wyjść jakoś inaczej, niż prawdziwie. Więc cóż ci powiem? Niepokoiła się o Ciebie, tylko o Ciebie, tak, jak to jedynie kobieta potrafi. Zrozpaczona mówiła ciągle, że grozi ci jakieś wielkie niebezpieczeństwo. Dlatego właśnie nie piszesz do

niej. Wreszcie uparła się żeby przyjechać. Pomogłem jej w zlikwidowaniu wszystkich tamtejszych spraw. Przyjechała Witoldzie, właśnie z tym postanowieniem, żeby już od ciebie nie odjechać.

- Nie! Nie! - Grabiec schwycił Wiatracza za ramię - tak być nie może! Ona musi tam wrócić, rozumiesz!

- Jak to? - Wiatracz ściągnął wolno brwi w zdumieniu nagłym i trudnym, oszołomiony nieco wybuchem Grabca. - Jak to! Przecież ona ciebie - Przecież ty ją -

- Nie! Tak być nie może - wybuchnął Grabiec. Potem splótł ręce aż zatrzeszczały kości w stawach. Uspokoił się nieco. - Trudno mi - potarł czoło dłonią - niezmiernie mi trudno powiedzieć, wyjaśnić ci w tej chwili wszystko. Ja nad tym myślałem, przewidywałem, ale, mimo wszystko, tak mnie to nagle zaskoczyło - Nawet, przyznam ci się, choć mi to właśnie dzisiaj, właśnie teraz przychodzi z trudem: tak mnie to jakoś wybiło z równowagi.

Kurz wznoszony przez wiatr szedł w niebo wysokim słupem.

- Słuchaj! - rzekł szybko Grabiec. - Ja mam narzeczoną!

- Ach, tak! - Antoni Wiatracz spojrział nagle Witoldowi w oczy przeciągle, nienawistnie.

- Tak! - mówił znów Grabiec twardo, nawet spokojnie. - Tak! Mam. Zrozum! To nie jest taka sobie zwyczajna historia: zawrócił dziewczynie w głowie, a potem żeni się z drugą.

- Ach, nie!? - wtrącił ironicznie i gorzko Wiatracz.

- Nie. Zrozum! Tu się sprawy powikłały piekielnie w jakimś splocie fantastycznym, okrutnym. Słuchaj! Nie wiem, czy ci to wszystko potrafię wytłumaczyć od razu. Ja Elżbietę - tak...

kochałem chyba, bo jak to nazwać! Ale to było dawno.

– No i uległo przedawnieniu, tak?

– To było dawno – mówił dalej pośpiesznie nie zważając na nienawistny wyraz twarzy Wiatracza. – Byłem wtedy zupełnie innym człowiekiem. Poznałem ją na krótko zresztą przed moim wyjazdem. Podobała mi się. Miała uroczą niewiedzę własnego wdzięku.

– Więc, jednak?

– Tak, raz jeden była u mnie.

No, cóż! – Krótkie, usprawiedliwiające wzruszenie ramion.

– Słuchaj Tolek! – mówił dalej Grabiec. – Staraj się wysłuchać mnie jak najspokojniej. Ja ci to wszystko mówię przecież nie po to, żebyś mnie osądził, tylko, żebyś mnie zrozumiał. Ja byłem wtedy zupełnie innym człowiekiem. Zwykłym, cywilnym. Cokolwiek robiłem, to dotyczyło i obchodziło wyłącznie tylko mnie. Gdybym wtedy, dwa lata temu znalazł się w podobnej sytuacji między dwiema kobietami, wówczas byłyby to tylko moja zwykła prywatna sprawa, którą załatwił bym tak, czy inaczej, lepiej lub gorzej wobec własnego prywatnego sumienia, ale tylko wobec niego. A dzisiaj? Czy ty nie zdajesz sobie dokładnie sprawy z tego, że ja dzisiaj jestem kimś zupełnie innym niż wtedy?

– Mąż zaufania publicznego!

– Nie! Tak zwany mąż zaufania publicznego drży o opinię, bo opinia może mu odebrać dobrze prosperującą, zasiedziałą synekurę. Ja jestem mężem zaufania rewolucji! Jestem jedynym z tych, w których wierzy bezwzględnie nie komplet publiczny, ale nieliczna grupa zapaleńców. Kwestia spełnienia rewolucyjnej przebudowy naszej rzeczywistości jest kwestią ich wiary w nas: kierownictwo, wzór najwyższy, ideał, symbol.

Przywozisz tutaj tę dziewczynę, wobec której popełniłem, mniejsza w tej chwili o to: z jakich powodów, nieuczciwość, no łajdactwo nawet.

I chcesz mnie takim pokazać wobec tych ludzi, którzy ufają mi bezgranicznie, czekają ze ściśniętymi sercami i kułakami na to, co mam im za godzinę powiedzieć. Chcesz to zrobić właśnie teraz, gdy banda pluskiew czyha na jakąkolwiek słabą stronę w naszym froncie i przyjmie łakomie kompromitujący szczegół z mojego prywatnego życia, jako broń w kontrakcji politycznej? Nie! Wierz mi, że dużo mnie to kosztowało wysiłku zanim zrozumiałem sens tej bezwzględnej etyki. Ale losy rewolucji są mi bliższe niż losy Elżbiety.

– A przecież ona jest także chyba człowiekiem! – o którego podobno przede wszystkim chodzi tej twojej rewolucji. – rzekł szydlawie Wiatracz. – Więc co z tym człowiekiem?

Dzwonek telefonu brzęknął krótko.

– Słucham. -- Nie, nie ma żadnego człowieka. -- Jeszcze nie ma. -- Na pewno. -- Nie wychodziłem.

Grabiec znów stał naprzeciwko Wiatracza.

– Ja mogę być w prywatnym życiu łajdakiem, rozumiesz? Wszą, robakiem, niczym! Ale rewolucja jest wszystkim. Rewolucja, która się zacznie dzisiaj za godzinę, jest sprawą wielką i wielkimi muszą pozostać jej symbole. Dlatego Elżbieta dziś jeszcze wyjedzie.

– A jeżeli nie? – Wiatracz wstał również. – Jeżeli zostanie, w najgorszym razie zrozumie wszystko? I postanowi się nawet zemścić?

– To się ją – Grabiec zrobił znów krótki ruch ręką, jak wtedy przed kilkoma minutami. – To się ją – złamie.

– Ach tak! – Przez twarz Wiatracza przebiegł skurcz. Zdumienia? Wściekłości? Strachu? – Nie, chyba wściekłości tylko.

– Ach, taak! Więc potrafisz nawet zniszczyć ją i jej dziecko jak tamtych. –

– Co? – Grabiec przyskoczył do Wiatracza, schwycił go za ramiona i przysunął do jego twarzy swoją twarz pobladłą nagle z ustami zaciśniętymi i oczami rozwartymi szeroko, strasznie.

– Dziecko!?! – niemal wycharczał z siebie to słowo.

– Tak, dziecko! Elżbiety i twoje. Syn.

– Syn. Mój –

Wiatracz bez słowa patrzył na Witolda. Grabiec opuścił ręce bezwładnie wzdłuż tułowia i opadł ciężko na fotel.

– Moje dziecko – urwał. Potem znów coś zamamrotał niedosłyszalnie i ucichł.

Z podwórka dobiegł teraz czyjś gniewny głos, a potem jazgotliwy skowyt psa, pewnie bitego mocno, nienawistnie, uparcie. Wiatr zaczął właśnie zwolna przemijać. Czuby kasztanów stopniowo uspakajały się, pulsując jeszcze lekko, rytmicznie w obie strony.

– No, więc co? Co? Co cię tak wzruszyło?

Grabiec nie odpowiadał.

Pukanie. Jeszcze raz. I jeszcze. Maliniak wszedł wreszcie bez pozwolenia.

– Goniec od kolegi Powiewalskiego.

Grabiec podniósł nieco głowę. Ściągnął brwi.

– Nie przyjmę.

Maliniak wyszedł.

Wiatracz patrzył na Grabca chciwie, oszołomiony tą nagłą zmianą.

Zadzwieczał dzwonek telefonu. Raz, drugi, trzeci. Natarczywie, uparcie.

– Telefon do ciebie!

Witold nawet nie podniósł tym razem głowy.

– To nic – rzekł bardzo wolno i bardzo cicho. – Nie przyjmę.

Jeszcze jeden dzwonek i jeszcze.

– Może coś ważnego. Pewnie dzwonią do ciebie z partii! Niedługo przecież musisz iść do Sejmu.

– Nie pójdę.

– Co? Jak to!

Wiatracz w osłupieniu nagłym pochylił się w stronę tego człowieka, który siedział teraz skurczony, mały, bezradny, jakiś zatrwożony, ścichły, z twarzą pobrużdżoną zmarszczkami, oczami zgasłymi.

Znów zaczął dzwonić telefon.

Wiatracz doznał nagle uczucia przerażenia. Dopiero teraz, kiedy patrzył na tego słabego, załamane go tak niespodziewanie człowieka, zrozumiał całą jego poprzednią siłę, twardą, bezwzględna moc, która zdawała się być czymś istotnym, nieodłącznym od niego. Ta nagła zmiana była czymś najpotworniejszym, okropnym! Nie mógł tego zrozumieć, nie mógł pojąć, czuł, że gubi swój rzekomo chłodny, logiczny, obserwatorski stosunek do świata. Męczyło go to, obezwładniało, przerażało.

– Witold, Witold! Przecież tam na ciebie będą czekali! – niemal krzyczał. – Przecież to dziś, niedługo! Twoja wielka gra! Witold!

– Grabiec zrobił ręką pokorny gest. Prośba o spokój.

Wszedł Maliniak.

– Panie Niepomyskie!

Głos Grabca cichy, rozbity, matowy:

– Nie przyjmę dzisiaj nikogo.

W tej chwili zanim Maliniak zdążył coś odpowiedzieć, w drzwiach ukazała się nagle jakaś siwa, senatorska dama, a za nią młoda, pewnie dwudziestoletnia panna w jasnym, spacerowym kostiumie.

Wiatracz biegał rozpaczliwie oczami po obecnych. Myśli szarpały się w nim niespokojnie. Więc to pewnie – ?

Terkot telefonu.

Wiatracz machinalnie schwycił słuchawkę.

- Hallo! Tak jest! - Jak? - Kierownik Legionu zamordowany?

- Co!? - Grabiec zerwał się nagle z fotela. Skoczył do telefonu i wyrwał Wiatraczowi słuchawkę. Wpił się palcami jednej ręki w blat biurka i rzucał głośno krótkie pytania. - Kiedy? -- Złapali? -- A pluskwy? Pluskwy! -- Goniec? Zaraz.

- Zwrócił się do Maliniaka.

- Co z gońcem od Powiewalskiego?

- Czeka w przedpokoju.

- Zawołajcie go tutaj.

Potem znów do telefonu.

- Dobrze! Przyślijcie. -- Za trzy kwadransy będę.

Położył słuchawkę. Stał wyprostowany, zdeterminowany, mocny.

- Pół godziny temu zastrzelili kierownika Legionu w jego własnym mieszkaniu. Rewolucja się zaczęła i nic jej już nie powstrzyma.

Do gabinetu wszedł człowiek ubrany w mundur partyjny. Stanął na baczność przed Grabcem i wyciągnął do niego teczkę z papierami.

Od kolegi sekretarza.

- Dziękuję.

Grabiec podszedł do obu pań i przywitał się.

- Panie pozwolą! - rzekł. - Antoni Wiatracz, przyjaciel z amerykańskich czasów! Moja narzeczona!

Wiatracz przywitał się odruchowo, roztargniony, milczący.

Grabiec odezwał się znów spokojnie, rzeczowo.

- Przed pójściem do Sejmu zjemy coś, dobrze?

- W takiej chwili, w takiej chwili móc myśleć o jedzeniu! - kołowało w Wiatraczu bezgranicznym zdumieniem.

Przy stole zapanowało lekkie odprężenie.

- Więc kierownik - ? - dopytywała się pani Niepomyska, matka narzeczonej Grabca.

- W tej chwili ja, jako zastępca kierownika staję na czele organizacji Legionu - rzekł Grabiec. - Na razie ja będę trzymał w rękach całą akcję.

- Czy pojedziemy razem do Sejmu? - spytała panna Kamila.

Dopiero teraz przyjrzał się Wiatracz jej twarzy klasycznie pięknej, poważnej, skupionej.

- Tak! Powiedziałem, żeby mi przysłali samochód. Zwykle chodzę pieszo, więc może ci się to wyda przesadą, ale trudno! Muszę mieć teraz jak największą gwarancję bezpieczeństwa.

- Ach, naturalnie! Na mieście jest już dosyć niespokojnie zauważyła pani Niepomyska.

- Tak! - zaczął swobodnie Grabiec. - Przedwczoraj przez cały dzień włóczyły się za mną jakieś dwa typy w granatowych jesionkach. Ano cóż! - Świat zmienia się bardzo powoli. Średniowieczny zbój zamienił tylko pałkę na rewolwer i trochę inaczej się ubrał. Natomiast wielkie miasto prawie niczym się nie różni od niebezpiecznych puszczy. Ale na tym właśnie polega może wielki urok życia, że w każdej chwili można się nieostrożnie wychylić w śmierć.

To zdanie zabrzmiało jakoś sentencjonalnie, niemal jowialnie, aż do przesady spokojnie.

- Z resztą śmierć... - zaczął znowu.

Z ulicy dobiegł odgłos maszerujących oddziałów i śpiew.

Śpiewali rytmicznie, głośno, mocno skandowali jakiejś strofy proste i twarde.

- To oddziały Legionu - rzekła Kamila.

- Śpiew nacichał z wolna i ginął.

- Tak! - powtórzył Grabiec. - To oddziały Legionu.

Patrzył przed siebie wzrokiem jasnym, śmiałym. Usta miał zacięte postanowieniem.

Wiatracz zrozumiał teraz wszystko. W jednej chwili objął przedziwny stan rzeczy tak nie pojętych dla niego jeszcze parę godzin temu. Czuł podziw ogromny dla tego mocnego człowieka i dumę, że to on właśnie jest jego przyjacielem. W tym uczuciu zamykało się i zawierało wszystko.

- Na nas już pewnie czas - rzekł.

Wstali od stołu. Kamila zbliżyła się do Grabca i pocałowała go w policzek.

- To dzisiaj jest dzień twojego zwycięstwa, Witoldzie.

- Dzisiaj, Kamo!

Spojrzeni sobie w oczy.

- Samochodu ciągle jeszcze nie przysyłają. - powiedział Grabiec po chwili. - Co za porządek!

- Jest już rzeczywiście późno. Trzeba wyjść - rzekła pani Niepomyska.

- Tak! Wiecie państwo! Pójdziemy pieszo. Pewnie spotkamy samochód po drodze.

- Hm, może tak będzie lepiej - zastanawiała się panna Kamila.

- Oczywiście, czekanie dłużej nie ma żadnego sensu.

Wyszli na ulicę. Radośnie podnieconych otoczyło łagodne ciepło słoneczne. Przodem szedł Grabiec, prowadząc panią Niepomyską, z tyłu Wiatracz z panną Kamilą. Szli chodnikiem rozmawiając o rzeczach i sprawach drobnych, nieważnych, żadnych.

Kamila wypytywała Wiatracza o stosunki w Polsce amerykańskiej.

Przy kościele Karmelitów Grabiec zatrzymał się.

- Samochodu jeszcze nie ma. Może weźmiemy taksówkę?

Potem szybko, nie czekając na odpowiedź, dodał, zwracając się do Wiatracza:

- Nie mógłbyś mnie poczęstować papierosem? Zostawiłem widocznie swoją papierošnicę na biurku.

- Służę ci. - Wiatracz sięgnął do kieszeni. Potem do drugiej. A to pech! Wyobraź sobie, że i ja zapomniałem.

- No, rzeczywiście! - roześmiał się Grabiec. - Co tu teraz. - Aha, po prostu...Przepraszam na chwilę!

Zwrócił się szybkim krokiem w stronę budki z papierosami, znajdującej się naprzeciwko.

- Późno! Już bardzo późno! - rzekł niecierpliwie Wiatracz patrząc na zegarek.

W tej chwili ujrzał do drugiej stronie ulicy o jakieś dziesięć kroków od Witolda, kupującego papierosy, dwa, zbliżające się także do budki, indywidua w granatowych jesionkach, trzymające ręce w kieszeniach.

- Witold! - krzyknął odruchowo.

Grabiec się odwrócił. Zamachał wesoło ręką, w której trzymał paczkę papierosów.

- Idę już! Idę! - odkrzyknął beztrudno, nie zważając na zgorszonych tym sobotnich przechodniów.

Wiatracz znieruchomiał.

Grabiec szedł szybko przez jezdnię. Poły płaszcz rozwiewały mu szeroko. Za nim tuż, tuż dwaj -

Nagle z za rogu wypadł w ostrym pędzie, czarny, wielki samochód. Straszny krótki krzyk zatarły raptownym, przeciągłym zgrzytem hamulce. Z auta wypadł szofer w mundurze partyjnym. Chlapnął drzwiczkami.

Na brzegu chodnika leżały zmasakrowane zwłoki Witolda Grabca.

Dwaj ludzie w granatowych jesionkach zatrzymali się bezradnie, zakłopotani, osłupiali i wyjęli wolno ręce z kieszeni.

Wtedy właśnie Antoni Wiatracz zobaczył po przeciwnej stronie ulicy zbliżającą się do tego miejsca krokiem muzycznym, poprzez nagrzane

słońcem niebieskie powietrze, uśmiechniętą dziecinnie Elżbietę.

Wojciech Wierzejski [Wacław Bojarski]

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

„PIEŚŃ NIEPODLEGŁA”

Zebrał Ks. Robak¹³,
Wyd. oficyny polskiej w Warszawie
str. 127

Wydanie dziś tego rodzaju antologii, co „Pieśń niepodległa”, jest zdarzeniem wydawniczym i artystycznym większego kalibru. Tylko że o ile w pierwszym przypadku jest to kaliber ze znakiem plus (kredowy papier, ładna okładka, bardzo staranny druk itp.), o tyle kaliber artystyczny wyraża się chyba w cyfrach ujemnych.

Przede wszystkim dobór materiału. Szlachetna w założeniu intencja podbudowania wojennej dzisiejszości wczorajszymi przecuciami, wczorajszą psychozą oczekiwania wyraziła się w stworzeniu przedwojennego cyklu liryki pt. „Zwiastuny burzy”. Tymczasem gdyby zamiast z tomiku „Krzyk ostateczny”¹⁴ zaczerpnąć z dawniejszego bodaj o pięć lat tomiku „Przyjście wroga”¹⁵, to – mam wrażenie – że byłoby to nie tylko chronologiczne poprzedzenie faktów, ale i pogłębienie ich. Zastrzeżenia poważniejsze budzi rozdział zatytułowany „Droga do Polski”. Co ma wspólnego z „Pieśnią niepodległą” Julian Tuwim, skompromitowany dostatecznie już chyba przysłaną nam ze Stanów Zjednoczonych „Modlitwą” albo ośmieszony redaktor „Wiadomości Literackich” – Słonimski?

W układzie antologii znać pewną kompromisowość i to przykro razi. Wreszcie,

dotkliwym brakiem jest pominięcie liryki autora¹⁶ „Poematu wrześniowego”. Jakkolwiek oceniałbym jego twórczość obecną w stosunku do poziomu osiągniętego przed wojną, autor „Poematu wrześniowego” jest jednym z ośrodków krystalizacyjnych liryki wojennej i brak jego w antologii jest czymś więcej niż brakiem personalnym.

Przedmowy, jakimi opatrzył autor antologii zebrany materiał, są dość konwencjonalne i wyjaśniają niewiele. Ale może i nie bardzo jest co wyjaśniać. Poeci wreszcie „zmadrzeli”, bez względu na wiek „stali się dojrzałi”, nauczyli się pisać zrozumiale, łatwo, prosto, nawet „prosto z serca”.

Jedynie autor¹⁷ „Psalmu o Łasce” i liryku „O miasto, miasto – Jeruzalem żalu” cierpi jeszcze na dawne nałogi awangardy, gmatwa się i pisze zdaniem bardzo długimi, ale to tylko sporadyczny wypadek. Ogólnie: lirycy usypali w antologii wielki grób awangardzie. Z lekką przesadą można by dorzucić, że nawet – grób poezji.

Poezja nie zdołała jakoś oryginalnie, do głębi artystycznie przeżyć dziejącej się wojny. Zrezygnowała z artyzmu, zrezygnowała ze świeżości, postanowiła wyrazić tylko swój czysto ludzki ból, lęk i rozpacz. I oto okazało się raz jeszcze: czysto ludzki ból, lęk i rozpacz straciły swą sugestywność, straciły swa żywość. Brzmiały monotonna, obojętnie i nieładnie. Okazało się raz jeszcze, że oryginalność to już nie tylko

oryginalność, ale wprost warunek konieczny widzialności rzeczy, odczuwalności zjawisk. Forma, którą się złośliwie utożsamia z asonansami czy jakimiś tam figlasami stylistycznymi, okazała swoje drugie dno i swoją głębię. Wojna straciła swą grozę chybotania się, pochylania w nieznanne. Bo oto całą jej karkołomność, nieprzewidywalność, nienazwaność ujęto w wiersze stare i osłuchane, w odwieczne zwroty o „żołnierzu wracającym z niewoli, odpoczywającym pod brzozą u drogi”, o „płaczącej nocy majowej i okiści gwiazd”, o „rozpaczy i zgrozie, z jaką patrzy się na przerażający cud wszechświata” itd. itd.

Poezja utylitarna!?

Naturalnie, nie wszystkie, są wyjątki, są kompromisy, są tylko pochylenia się ku brukom. Ale jakżeż nazwać takie wiersze, jak „Żołnierz polski”:

„Hej, ty brzozo, hej ty brzozo płaczkco,
Smutno szumisz nad jego tułaczką,
Opłakujesz i armię rozbitą,
I złe losy, i Rzeczpospolitą.”

Jakże inaczej można by nazwać ten nieudolny patos, jak nie operetkowym:

„Lecz nad gruzami, zbrojno, nieodmienną drogą,

Co nową hekatombą zrobiła się żyzna,
Książę jedzie na koniu z przestrzeloną nogą
I przed trupy mówi: Honor i Ojczyzna!”
Kogo porwie schematyczna Ballada o Serbii:
„Ten krzyk zdławiony zbudził Serbię
I porwał ją, i uniósł wzwyż,
A potem wbito ją na krzyż.
W dolinie ziemskiej w kraju cierpień
Dwanaście dni, dolino płaczu,
Dwanaście nocy płonął bój,
A gdy ucichły chrzesty zbrój,
Stała nad krajem pieśń rozpacz.”

Mnożenie podobnych cytatów nie jest ani ciekawe, ani potrzebne, jest tego nie do wyczerpania!

Odpowiedzmy w końcu, kto zużywa i w jakim celu tę poezję utylitarną czy na półutylitarną? Tej nieprzetrawionej wojny, tych czysto ludzkich cierpień mamy dosyć w życiu, cierpimy, jeśli wolno tak powiedzieć, do przesytu, każdy boryka się z tym wszystkim prywatnie i naprawdę. Zniszczyć obyczaj konwencjonalnych opiewań! Powiedzieć prosto, że poezja utylitarna, o ile nie ma celów propagandowych czy satyrycznych, o ile nie stawia sobie za cel jedynie uczuciowe rozmamłanie człowieka – jest poezją bezużyteczną, bo nikogo nawet nie rozmamła (nie mówiąc już o działaniu estetycznym!).

Jeśli chodzi o wskazanie na wiersze z pewnymi ambicjami czy osiągnięciami, to postaram się tu zrobić krótki przegląd. „Psalm o Łasce” – liryk refleksyjny, obrazowość i zawiła składnia zacierają ideę. Bardzo dużo zwrotów awangardowo czy nawet skamandrycko konwencjonalnych. „Równina” – liryk dla mnie osobiście najciekawszy. Pewne ułatwienia rytmiczne i melodii, ale jednocześnie powiew świeżości i siły. „Opowiadanie” – subtelna rytmika, efekty czechowiczowskie, kameralne. Kompromis pomiędzy wojenną aktualnością a przedwojenną rekwizytornią. „Rok 1941” – autor wywołuje wrażenie już przez sam kontrast z resztą poezji. Bierze indywidualnym, choć nie cofającym się przed rekwizytami stylem, pewną nawet szorstkością. Wreszcie popularny wiersz „Droga” (pisany w Moskwie), odznaczający się pewnym ubóstwem treściowym, ale silny w swej artystycznej prostocie.

Może dla równowagi i sprawiedliwości należałoby obok cytatów złośliwych dodać i cytaty

pozytywne, cytaty z liryków przeze mnie wyróżnionych. Niestety, jest to niemożliwe. O ile bowiem dla ukazania grafomanii wystarczy jeden tylko dwuwiersz, o tyle w drugim wypadku należałoby przytoczyć liryki w całości. A na to brak tu miejsca.

Wnioski ostateczne: liryka wojenna nie daje nam właściwie ani przeżyć artystycznych, ani nawet silnych przeżyć życiowo-emocjonalnych. Czytelnik – nawet uczuciowo wrażliwy – więcej cierpi nad beznadziejnością tej zutilitaryzowanej sztuki niż nad --

I jeśli popełnia to błuznierstwo, to nie jego w tym вина, lecz samej zebranej w antologię liryki.

Stanisław Łomień [Andrzej Trzebiński]

„POLITYKA KULTURALNA W PAŃSTWIE POLSKIM”

Wyd. Przebudowy

Autor broszury¹⁸ dostrzega w polskiej rzeczywistości społeczno-kulturalnej – zgodnie zresztą z doświadczeniami socjologii – kulturalny dualizm, podział na środowisko inteligenckie i chłopskie. Zarówno ocena tego stanu, jak i postulaty stawiane przez autora wskazują na gruntowne przemyślenia i słuszną zupełnie ostrożność.

Autor rozumie, że celem polityki kulturalnej musi stać się w Polsce zatarcie granic międzyśrodowiskowych, sprowadzenie kultury inteligenta i kiełkującej dopiero kultury ludowej do jakiejś wspólnej płaszczyzny. Jednocześnie nie popada jednak w żaden ze środowiskowych monizmów.

Rozumie, że kultura ludowa mimo systemu wartości opartego na etycznych podstawach pracy,

produkcji etc. jest dopiero *in statu nascendi*, rozumie także, że kultura inteligencka reprezentuje system wartości jednostronnych, często bez związku z rzeczywistością wiszących w próżni (a więc niemoralnych!), opartych na konsumpcji. Obie więc nie mogą stać się celem.

Rozumnym wyjściem może tu być jedynie próba stworzenia na płaszczyźnie wartości ogólnonarodowych – kultury nadrzędnej.

Realizacja programu wskazywana przez autora musi się liczyć z dwoma niebezpieczeństwami: narzucenie programu przebudowy przez samo państwo ograniczałoby inicjatywę prywatną, zdejmowałoby z jednostki odpowiedzialność za całość. Pozostawienie realizacji samemu społeczeństwu, zaufanie samorzutnym procesom społecznym narażone jest na niebezpieczeństwo przemian zbyt niezharmonizowanych i powolnych.

Trzeba dążyć do współdziałania obu sił: państwa i społeczeństwa, szukając jak najmądrzejszych między nimi proporcji.

Jak z dalszego toku broszury wynika, kultura rozumiana jest przez autora bardzo obszernie. Oddziaływanie na rozwój kultury musi się odbywać na trzech niejako piętrach:

a) oddziaływanie na siłę biologiczną narodu

b) oddziaływanie na charakter życia narodowego

c) oddziaływanie w ściślejszym znaczeniu kulturalne: oświata, wychowanie itd.

I tu, o ile dwa pierwsze piętra rozumiane są bardzo szeroko i rzetelnie, o tyle piątro ostatnie robi na nas wrażenie poddasza. Kultura w ściślejszym znaczeniu ogranicza się do oświaty, wychowania itd. Awangardę kultury, a więc sztukę i naukę, widzimy w tym ogólnym obrazie kultury jako trochę niedocenione czy nawet zlekceważone.

Być może autor broszury kierował się tu poglądami zupełnie przeciwnymi. Może w swym programie kulturalnym pozostawiał sztuce i nauce zupełnie wolną rękę, zupełną *carte blanche* twórczej swobody, rozumiejąc, że sztuka i nauka muszą być czymś ponadprogramowym.

Nie tu miejsce na obszerniejszą wymianę zdań. W każdym razie naszym zdaniem: program zorganizowania artystów, problem stosunku artysty do państwa i państwa do artysty itd. wymagały także omówienia. Hasła w stylu „Popieranie twórczości artystycznej”, „Twórca powinien czuć się potrzebnym!” – są tylko ogólnikami.

Realizacją programu jest zdaniem autora „sprawą gardłową”, jest koniecznością polskiej kultury. W pewnych dziedzinach jednak – w szkolnictwie wiejskim na przykład – trzeba z góry przyjąć, że praca trwać musi długo, rozwijać się stopniowo, a wypełnienie postulatów może się najwcześniej dokonać w ciągu dziesięciolecia. Ale i ta ostrożność w stosunku do szkolnictwa dowodziłaby, że wyciągnięto naukę ze smutnych doświadczeń szkolnych ZSRR, gdzie z powodu zbyt gwałtownego tempa reform robiły one jeszcze gwałtowniejsze fiaska.

A więc i tu szlachetna ostrożność w operowaniu rozwiązaniami, które mogłyby się niezmiernie łatwo stać niebezpieczną i szkodliwą demagogią.

St.Ł. [Andrzej Trzebiński]

„WERBLE WOLNOŚCI”

Wyd. KOPR¹⁹, str. 8

Żyjemy w okresie szczególnym.

Dyktuje on szczególne warunki, wśród których zmieniają się z dnia na dzień kierunkowe

wypadków. Pewne problemy nie obchodzą nas dzisiaj, pewne znowu działają podniecająco. Zmienia się w naszych oczach pozytywnie życie.

W pozornym chaosie niecierpliwości godzin – zdawałoby się – nie ma miejsca dla poety. Czy zdolny jest on przebić się ze szczęku mosiężnych zdarzeń? Albo czy produkt jego talentu jest w tej chwili potrzebny?

Odpowiedź pierwsza: wielka poezja ma ten sam wydźwięk, co wielka bitwa.

Odpowiedź druga: w tej chwili jesteśmy głodni. Brak nam oprócz chleba także poezji. Pragniemy innej rzeczywistości lub innego pojęcia współczesności. Oczekujemy nowej poezji!

Jak jest z twórczością poetycką w okresie tej wojny?

Trudno jest dzisiaj syntetyzować, ale na podstawie części warto pokusić się o oddanie całości.

Część ta, to wszelka twórczość dla nas dostępna, wszelkie odpisy, wydane konspiracyjnie tomiki, zbiorki i „antologie” poezji wojennej.

Część zamknięta, od której należy oczekiwać niespodzianek, to rękopisy na dnie szuflad.

Więc: twórczość poetycka nie umilkła. Ale... ale drepce tą samą, wytartą ścieżynką formalną, ocierając się o te same przemyślenia. *Nihil novi*.

- - -

Tytuł silny „Werble wolności”.

Z dwunastu wierszy złożony zbiorek, nakładem KOPRu. Utwory te – jak mówi wydawca – pisane były w „Paryżu, Londynie i Rosji, pod płótnem namiotu wojskowego, i – przy lampce karbidowej, w murach więziennych i pod słońcem afrykańskim”. Tak. To usprawiedliwia poziom artystyczny utworu. Jest on słaby. Wyróżnia się dodatnio wiersz „Chmury zniżyły niebo”, który ma w sobie grozę werbli, i bezpretensjonalna „Kolęda”.

Pozostałe wiersze – słabe, gorzej – banalne, wyjąwszy „Święty Boże”. Uderza – (nie tylko w „Werblach”) w poezji wojny dzisiejszej jakaś schematyzacja uczucia, patriotyczny werbalizm bez żaru i siły sugerowania. Pomijając większe koncepcje artystyczne, – żeby chociaż dobry opis... przekonywujący obraz.

Jest w „Werblach” wiersz, który znaleźć się tu nie powinien. Jest to wiersz pt. „Wszystko”. Z zespołu utworów wiersz ten jest najbardziej „ambitny”. Forma jego bowiem sięga rekwizytorni romantycznej. Jest to znamienne. Autor nawraca do Mickiewicza, ale bierze z niego za ledwie zewnętrzną formę, nie ducha. W rezultacie powstaje utwór wzorowany na rytmice „Trzech Budrysów”.

Znamienny jest ten fakt obecnego nawiązywania poetów emigracyjnych do Mickiewicza. Do jakich naskórkowych efekcików takie nawiązywanie się sprowadza, np. w ostatniej twórczości Juliana Tuwima – wykazał już Stanisław Łomień. (patrz: „Sztuka i Naród” nr.1, w artykule „To czas się wstrzymał i odwrócił lica”) (przyp. Red.)

Kwestia pozaartystyczna, problemowa tego wiersza – przedstawia się równie anachronicznie płytko, jak jego forma. Łatwizna przyciąga łatwiznę.

Wiersz „Wszystko”, mówi nam rzeczywiście wszystko. To znaczy: celem naszej walki, według kronikarza „Wiadomości Literackich” – jest jawor, komar, koń i książka (pewnie „Pan Tadeusz”).

Łatwa sielskość – anielskość poety jest dla nas odrażająca.

Autor wykazał po raz któryś tam z rzędu, jak ogromny dystans dzieli go od czytelnika polskiego. Wykazał po prostu swoją obcość. Tak. Wiersz „Wszystko” nie jest z pewnością „nasieniem mocy i dumy, miłości i sprawiedliwej zemsty”, mimo że

tak mówi posłowie. Smutne, że praca i inicjatywa wydawnictw, godna szacunku, została dotknięta podobnym credo.

- - -

„Werble wolności” to eksponat. Czas przeżywany dyktuje określone problemy, poeci chwytają je wprost z rzeczywistości. Ale brak zdolności transponowania swoich przeżyć w inny zupełnie wymiar, jakim jest poezja – mści się. Powstają słabe wiersze. Tylko. Na poezję czekamy.

K.T. [Tadeusz Gajcy]

„PRACA I WALKA” – NOWE PISMO DLA MŁODZIEŻY

W maju zaczął wychodzić miesięcznik „Praca i Walka”, będący „Pismem młodzieży polskiej” jak głosi podtytuł.

Pismo dla młodzieży – inicjatywa niewątpliwie pożyteczna, zagadnienie młodzieży niemogącej uczęszczać do szkoły, demoralizowanej przez niezdrowe wojenne warunki pracy i w ogóle życia, pozostającej często bez żadnego określonego zajęcia, pozbawionej w wielu wypadkach opieki, lub za wcześnie usamodzielnionej jest zagadnieniem doniosłym i ważnym ze wszech miar.

A pisma docierające daleko poza ramy organizacji działać może wiele.

Nie ustrzegła się jednak redakcja „Pracy i Walki” przed licznymi usterkami: ton moralizatorski, miejscami aż suchy, wprowadzanie całego tradycyjnego w takich wypadkach arsenału frazesów i tautologii, wadliwa rozpiętość między np. artykułem „Zdajemy egzamin” (ton jak do 12-letnich chłopców) a licznymi artykułami w których mętnej frazeologii i dorosłemu zgubić się łatwo – obniża wartość pisma obok kwiatków w rodzaju

apelu do dziewcząt: „Wy młode panny, czy nie wstyd wam, że gdy tysiące rodzin umiera z głodu, lub jest dotkniętych żałobą, waszym ideałem jest piękny *manicure*, wyzywająca maska różów i pudrów na skromnej twarzyczce (!?), ohydny papieros w pięknych usteczkach (!?). Zastanówcie się nad tem. Gdzie wasze miejsce. Czy naprawdę wasz patriotyzm ma się przejawiać tylko w tych angielskich marynarkach, na których widok prawdziwy Anglik zemdlałby”... lub... żądanie poprawienia w dyskusjach młodzieży „historii z podręczników szkolnych i prac naukowych bądź

to najzupełniej, lub celowo, a czasem przez myślową bierność zniekształconej”.

Ale zarzuty te głównie dotyczą poszczególnych artykułów, a nie całości pisma.

Ogólna linia bowiem katolicka i szczerze narodowa, przebijająca przez frazesy, ze zdrowej postawy wynikające potępienie lewicy jedynie, a brak najmniejszej niechęci do grup prawicowych, ogólne zwracanie uwagi na zagadnienie „złotej młodzieży” kawiarnianej – kwalifikują pismo definitywnie jako pożyteczne i godne poparcia.

C.M



**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego**

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu
Promocji Kultury

¹ Potoczne określenia żyda, który przeszedł na inną wiarę.

² Polski Rejon Narodowy im. Juliana Marchlewskiego, tzw. Marchlewszczyzna lub Polrajon – autonomiczna polska jednostka administracyjna w Ukraińskiej SRR ze stolicą w Marchlewsku. Funkcjonowała w latach 1925-1935.

³ Andrzej Trzebiński

⁴ Stanisław Marczak-Oborski

⁵ Kazimierz Feliks Kumaniecki

⁶ Zdzisław Stroiński

⁷ Tadeusz Gajcy

⁸ Witold Kozłowski

⁹ Wacław Bojarski

¹⁰ (łac.) W trakcie rodzenia się.

¹¹ Z ang. *pure nonsense* (dosł. czysta bzdura). Rodzaj dowcipu, w którym efekt komiczny powstaje z absurdalnych i nielogicznych skojarzeń pojęć lub obrazów.

¹² (fr.) A wszystko inne to...

¹³ Czesław Miłosz, Jerzy Andrzejewski i Jerzy Zagórski

¹⁴ Zbiór wierszy Władysława Broniewskiego wydany w 1938 roku w Warszawie.

¹⁵ Poemat katastroficzny Jerzego Zagórskiego wydany w 1934 roku w Warszawie.

¹⁶ Czesława Miłosa

¹⁷ Krzysztof Kamil Baczyński

¹⁸ *Wytyczne polityki kulturalnej* [w:] „Przebudowa” 1942, nr 4

¹⁹ Komisja Propagandy Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK